

## Historia życia Krzyżem naznaczona Dwa Jubileusze ks. Prałata Jana Bukowca



Fot. Franciszek Natanek

**50-lecie kapłaństwa  
ks. Prałata Józefa Poręby  
Jeszcze o dawnych opisach  
i wizerunkach limanowskiej Piety**

**Pomnik - symbol  
Wspomnienia o cichociemnym  
Feliksie Perekladowskim**

**Śladami  
Jerzego Harasymowicza  
Z Limanowej przez Kijów  
do Bykowni...**

**Niezrealizowane marzenia  
Czy mamy jeszcze „domy polskie”  
i rodzimy krajobraz?**



Fotografie: Stanisław Ociepka



**Powrócił na swoje pierwotne miejsce pomnik - monument, jedyny symbol niepodległości w Limanowej.**



# Pomnik – symbol

Stanisław Ociepka

**Powrócił na swoje pierwotne miejsce pomnik – monument, jedyny symbol niepodległości w Limanowej. Wprawdzie inne jest jego obecne otoczenie, ale usytuowanie niemalże to samo.**

**Na nowoczesnym rondzie Niepodległości, nazwanym tak przez współczesnie żyjących limanowian, ulokowano pomnik Nieznanego Żołnierza, jako wyraz szacunku do tradycji i pamięci dla naszych przodków, którzy walczyli o niepodległość Polski.**

Miejsce to, jak „starówka”, zabytkowa część Limanowej ma szczególne znaczenie. W tym rejonie postawiono monument w roku 1930. Obok biegnie droga pątnicza którą od niepamiętnych czasów idą pielgrzymi z limanowskiego kościoła – pomnika Konstytucji 3 Maja do kaplicy Łaski. Tu rozpoczęły się dzieje limanowskiej Piety.

Podążając tą pierwszą w naszym mieście ulicą o zwartej zabudowie, spotykamy tu, jak nigdzie indziej, wiele śladów związanych z historią Limanowej. Na przestrzeni ponad 100 lat nazwa ulicy wielokrotnie zmieniała się, była więc ulicą: *Stodólną, Ku Mordarce, Waleriana Zubrzyckiego* – burmistrza Limanowej sprzed I wojny światowej, *Józefa Piłsudskiego, Ignacego Daszyńskiego, Józefa Stalina, Władysława Orkana* – piewcy Ziemi Limanowskiej, a dziś *Matki Boskiej Bolesnej*. Można śmiało

powiedzieć, iż właśnie ta ulica była i jest reprezentacyjną dla naszego miasta. Tu mieściły się i mieszczą budynki użyteczności publicznej, tu codziennie przychodzi mnóstwo ludzi.

Kiedy pojawiła się ta ulica w krajobrazie Limanowej?

W połowie XIX wieku były tu jeszcze peryferie małego miasteczka, gdzie znajdowały się stodoły bogatych mieszczan. Gdy burmistrzem został Walerian Wieniawa-Zubrzycki, limanowski aptekarz, wówczas wytyczono nową ulicę nazwaną *Ku Mordarce*, równocześnie przesuwając granice miasta. W bardzo krótkim czasie przy tej ulicy elita limanowska wybudowała swoje posiadłości, powstały tu także pierwsze murowane kamienice, w których siedziby znalazły nowo powstałe urzędy. W tym właśnie rejonie w latach 80. XIX wieku został wybudowany murowany budynek staro-

stwa (współcześnie Urząd Gminy), bowiem w roku 1867 Limanowa stała się siedzibą powiatu.

Działacze zaś „sokolego gniazda” w 1910 roku oddali do użytku własną siedzibę, przestronny drewniany dom mieszczący się po drugiej stronie wcześniej wybudowanego starostwa.

W tym budynku, który był centrum kultury limanowskiej w owych czasach, w środowisku działaczy „Sokoła” pod koniec lat 20. XX wieku zrodziła się myśl wybudowania pomnika Nieznanego Żołnierza. Postanowienie to wierni Ojczyźnie mieszkańcy Limanowej zrealizowali w 100. rocznicę Powstania Listopadowego, dla uhonorowania zrywu patriotycznego własnych ojców.

Gdy stojąca w rynku obok drewnianego kościoła murowana kamienica, w której mieścił się sąd, została rozebrana w 1910 roku, aby zrobić miejsce dla mającej budować się świątyni, zaistniała potrzeba przeniesienia tego urzędu do innego obiektu. Lokalizację wybrano przy ówczesnej ulicy *Ku Mordarce*. Tam też wyrósł kolejny murowany budynek, w którym w latach (1919-1929) mieścił się Sąd Powiatowy, a później Sąd Grodzki (1930-1939). ▶

▶ Na tyłach sądu ulokowany był areszt, w którym funkcję klucznika, w latach międzywojennych, pełnił Jan Szewczyk. Jeszcze po II wojnie światowej mieścił się sąd, aż do przeniesienia go do nowej siedziby przy ul. Józefa Marka. Zaś w budynku po sądzie miejsce zajęła Miejska Biblioteka Publiczna.

Tuż obok tej kamienicy na początku XX wieku Towarzystwo Zaliczkowe i Ochrony Własności zbudowało okazałą siedzibę - Pałac „Pod Pszczołką”. W dziejach Limanowej przeznaczenie jego było różne. To tu w okresie okupacji hitlerowskiej wielu limanowian było przesłuchiwanym lub przetrzymywanym w areszcie w oczekiwaniu na przekazanie w ręce nowosądeckiego gestapo.

Prawdopodobnie podczas II wojny światowej w tej kamienicy był posterunek żandarmerii niemieckiej, jednak brak jest dokumentów potwierdzających ten fakt.

W roku 1942 ów budynek przeszedł na własność Banku Spółdzielczego, a po II wojnie światowej mieścił się tu posterunek Urzędu Bezpieczeństwa, potem zajmowała go Milicja Obywatelska. W latach 60. i 70. XX wieku na tle jego elewacji ustawiana była trybuna, przed którą maszerowały pochody pierwszomajowe.

W pobliskim sąsiedztwie w latach 50. XX wieku wybudowano nowoczesny jak na owe czasy budynek kinoteatru nazwany „Sojusz”. Skupione było w nim centrum ówczesnej kultury limanowskiej. Naprzeciw tego budynku, przed którym usytuowane są dwie strzeliste stylizowane kute latarnie projektu Tadeusza Ociepki, stał dumnie do 1997 roku pomnik Nieznanego Żołnierza. Wszystko to sprawiało, że ów zakątek miasta tworzył ciepły przyjacielski klimat, gdzie z przyjemnością bardzo często spotykali się limanowianie. Dopelnieniem tej niepowtarzalnej atmosfery wzdłuż całej „promenady”, kończącej się przy pomniku, były robinie białe – akacje, rozmieszczone po obu stronach „alei”, które zakwitały w czerwcu białymi kwiatami, przenikając spacerujących słodkim zapachem. W jesieni zaś nabierały intensywnej żółtej barwy.

Ten ład i harmonię architektoniczną zburzono w momencie, kiedy pomnik przeniesiony został na pobliski skwer. Pozbawiony stylizowanego ogrodzenia stał tam do lipca 2012 roku. Wcześniej wycięto akacje. Do czasów współczesnych zachowały się murowane budynki.

Natomiast drewniany dom „Sokoła” oraz areszt na zapleczu byłego sądu, jak również plac poniżej skarpy, gdzie jeszcze do lat 60. XX wieku znajdowały się boiska do gier sportowych i ćwiczeń gimnastycznych oraz kort tenisowy i kręgielnia już nie istnieją. Tam młodzież rozwijała swoją tężyźnię fizyczną, organizowane były również festyny i spotkania towarzyskie. Później powstał w tym miejscu plac targowy, a współcześnie budowane jest tzw. „targowisko” w ramach programu „Mój rynek”.

W tym niepowtarzalnym, jedynym i urokliwym zakątku Limanowej, gdzie przeszłość splata się z teraźniejszością i podziwiać można osobliwy obraz urbanistyczno – architektoniczno – krajobrazowy, po dwóch latach nieobecności powrócił pomnik - symbol. Przestrzenny obraz w tym rejonie został więc na nowo ubogacony przez obecność pomnika – monumentu, który stanął na pierwotnym historycznym miejscu.

Długo oczekiwany moment jego odbudowy rozpoczął się w pochmurny poniedziałek 14 kwietnia. O godzinie 19<sup>00</sup> pracownicy Miejskiego Zakładu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Limanowej przystąpili do prac przygotowawczych i zlikwidowali znajdujący się na tarczy ronda kopiec „kretowisko”. Pracując do późnych godzin nocnych, odsłoniли przestrzeń we wszystkich kierunkach: **wschód – zachód, wzdłuż osi historycznej, kościół – pomnik Konstytucji 3 Maja – kaplica Łaski w Mordarce oraz północ – południe wzdłuż nowej osi pomnik – jubileuszowy Krzyż na Miejskiej Górze wkomponowany w panoramę Pasma Łososińskiego.**

Następnego poranka – 15 kwietnia geodeci przystąpili do wyznaczenia poziomów według projektu inż. architekta Leszka W. Pilawskiego oraz wyznaczyli miejsce na betonowy fundament, który jeszcze tego samego dnia wykonali późnym popołudniem. Do rekonstrukcji pomnika przystąpiono 22 kwietnia, a końcowy element pomnika osadzony został 25 kwietnia. Następnie przystąpiono do prac wykończeniowych, które przyniosły pożądaną końcowy rezultat. W dniu 30 kwietnia, w miesiąc pamięci Narodowej pomnik Nieznanego Żołnierza stanął na swoim pierwotnym miejscu. Ten dzień zapewne przejdzie do historii Limanowej.



Pozostał do wykonania drugi etap prac, tzw. mała architektura w otoczeniu pomnika, w postaci stylizowanego oryginalnego ogrodzenia, odtworzonego na wzór pierwotnego z monolitycznych słupków kamiennych posadowionych na murku również kamiennym połączonych metalowymi przesłami. Dojście do pomnika przed ogrodzeniem wyłożone zostanie szarą koską granitową. Placyk wewnątrz ogrodzenia także będzie wyłożony szarą kostką. Estetykę otoczenia dopełni pas kolorowych kwiatów wokół pomnika. Nowo wprowadzonym elementem będą znicze o kształtach owalnych wykonane z metalu, ustawione po obu stronach pomnika wzdłuż osi bazylika – kaplica Łaski. Całość zostanie podświetlona reflektorami.

Po dwóch latach nieobecności pomnika w krajobrazie Limanowej wykonano dzieło jego odnowienia w miejscu, gdzie stał 82 lata. W pełnej krasie „czuwał” 67 - lat przy budynku „Sokoła”, zaś obok na skwerku pozbawiony stylizowanego ogrodzenia stał 15 lat do lipca 2012 roku. Obecnie ponownie wypełnił przestrzeń, nawiązując do tradycji sprzed 17 laty.

**Fotografie: Stanisław Ociepka**

# Niepowtarzalne przeżycia turystyczne

*„Czy jako miłośnicy gór zastanawialiście się kiedyś, że przyjdzie Wam w jeden dzień przebyć połowę Beskidu Wyspowego i połowę Gorców? Może ten pomysł wydał się bez sensu ze względu na nudę lub brak motywacji z powodu długości trasy?*

*Aby to zmienić, wystarczy wystartować w „Maratonie Kierat” – start w zawodach nadaje sprawie sens i cel, a to, że do momentu rozpoczęcia maratonu nie wiemy, gdzie zaprowadzi nas architekt trasy, dodaje dodatkowego smaku przygodowego”.*



To jedna z wielu wypowiedzi uczestnika tegorocznego „Kieratu” zawierająca sens wzrastającej co roku popularności Międzynarodowego Ekstremalnego Maratonu Pieszego w Limanowej. Zorganizowany wzorcowo przez szefa biura turystycznego „Limatur” Andrzeja Pilawskiego, daje wiele emocji, ciekawych przeżyć dla uczestników niemalże z całej Polski, znakomicie promując piękne walory turystyczne Ziemi Limanowskiej.

Na starcie XI MEMP „Kierat” 2014 r., stanęło 717 zawodników, z ponad 140 miast i miasteczek Polski. Przebieg maratonu nadzorowała na trasie 35-osobowa ekipa sędziowska złożona z wolontariuszy – sympatyków maratonu „Kierat” oraz z Jednostki Związku Strzeleckiego „Strzelec” OSW w Tymbarku. Nad bezpieczeństwem zawodników czuwała Grupa Operacyjna GOPR z Limanowej oraz zespół lekarski Szpitala Powiatowego w Limanowej.

Tym razem główny architekt trasy Andrzej Sochoń, „poprowadził” maraton przez Gorce. Odcinek pierwszy (PK1) po starcie z parku miejskiego skierowany został na Kuklacz (774 m n. p. m.), wzniesienie nad Siekierczyną. Odcinek drugi (PK2) wiódł do skrzyżowania dróg w Kiczni (wieś w gminie Łącko), następnie do Kamienicy, gdzie punkt (PK3) znajdował się przy wiacie za dworkiem „Gorce”. Czwarty punkt trasy (PK4) usytuowany został na łące w przysiółku Klelina, w samym sercu natury, gdzie Kamienica graniczy z Ochotnicą. Piąty odcinek (PK5) szedł do opuszczonego domu w przysiółku Dybce – na granicy trzech powiatów: limanowskiego, nowosądeckiego i nowotaraskiego. Stamtąd na Lubień (1211 m n. p. m.) (PK6). Z Lubania do Ochotnicy Górnej (PK7) i dalej trasa biegła na polanę Gorc Kamienicki (PK8). Kolejny dziewiąty punkt (PK9) zlokalizowany został na Przełęczy Przysłop, znajdującej się na grzbiecie łączącym Jasień z Gorcami. Na Polanie Stumorgowej pod Mogielicą położony został punkt dziesiąty (PK10) i dalej do Słopic, gdzie umiejscowiony był (PK11). Spod Urzędu Gminy trasa biegła do Tymbarku (PK12), stamtąd wzdłuż rzeki Sowlina do mety w Limanowej (PK13), która usytuowana była przy Limanowskim Domu Kultury.

Do mety w tegorocznym XI „Kieracie” dotarło 417 osób w tym 31 kobiet. Pierwszym na mecie już po raz trzeci był ▶



Maciej Więcek z Krakowa (13:34h), drugi Maciej Dubaj (13:45h), trzeci Andrzej Brandt (14:15h), czwarty Tomasz Kłodnicki (14:22h) z Limanowej, jest to najlepszy wynik, jaki w historii maratonu uzyskał zawodnik z naszego miasta. Z pań najlepsze okazały się limanowianki ex aequo, pierwsze miejsce zajęły Elżbieta i Anna Sułkowskie (17:04h), drugie Joanna Palka z Dobrej (19:42h), a trzecie Justyna Frączak z Krakowa (19:45h). Liderami klasyfikacji wieczystej są: Piotr Gruszkowski łącznie przebył w jedenastu edycjach „Kieratu” 1082km, a spośród pań Dorota Stefańska przebyła 913km.

I na koniec należy wspomnieć o incydencie, z którego wynika, iż w Limanowej najwyraźniej nie wszyscy zrozu-

mieli jak wielki kapitał dla promocji naszego miasta i Ziemi Limanowskiej wnoszący maraton „Kierat”. A bezmyślność ludzka pomniejsza olbrzymi wkład pracy ludzi zaangażowanych **społecznie** w promocję turystyczną Limanowej na całą Polskę. Z przykrością czyta się więc słowa napisane przez głównego organizatora i zarazem sędziego limanowskiego „Kieratu” Andrzeja Sochonia: „*Jak co roku, zatrzymuję się na placu przed hotelem. Jak co roku przychodzi czas na refleksje. Podczas poprzedniej edycji zawodnicy finiszowali w blocie. Teraz plac już po remoncie, z dużą liczbą miejsc parkingowych. Z niepokojem jednak spoglądałem na parkometry. Mam nadzieję, że władze miasta nie zrobią z nich użytku podczas „Kieratu”.*”

*Po maratonie okaże się, że moje obawy były uzasadnione, a nadzieje płonne. Przed uczestnikami imprezy uraczonymi mandatami za złe parkowanie musiałem świecić oczami i dyrektor zawodów musiał, i burmistrz też musiał. Za rok taka sytuacja nie może się powtórzyć. Ale nadzieja mi już nie wystarczy. Albo będę miał gwarancję, albo przeniosę bazę „Kieratu” w inne miejsce”.*

Rodzą się więc pytania. Czy w związku z zaistniałą sytuacją poniósł ktoś odpowiedzialność i został ukarany? Czy oficjalnie przeproszeni zostali uczestnicy maratonu?

**Tekst i fotografie:  
Stanisław Ociepka**

# Historia życia Krzyżem naznaczona

Ilona Machowicz-Jurowicz

## Dwa Jubileusze ks. Prałata Jana Bukowca



Msza Jubileuszowa koncelebrowana przez bpa Andrzeja Jeża.

Fot. Franciszek Natanek

**Ksiądz Jan Bukowiec** –wieloletni proboszcz i kapłan sowlińskiej parafii, budowniczy Kościoła pw. św. Stanisława Kostki, kochany przez parafian za dobroć, serce i poczucie humoru, ceniony za mądrość, żelazną wolę i konsekwencję. W tym roku obchodzi dwa piękne Jubileusze: 50-lecia pobytu w parafii w Sowlinach oraz 80-lecia urodzin. Od 10-ciu lat jako emeryt spędza jesień życia wśród parafian, w sąsiedztwie kościoła, postawionego, jak mówi ze skromnością „przez Boga przy pomocy życzliwych ludzi”. Doświadczony chorobą, zachował pogodę i siłę ducha. Spoglądając z dystansem w przeszłość, wspomina drogę swego życia, nazywa ją „podróżą za Krzyżem”.

### **Początek podróży - tragedia wojny i czasów stalinowskich**

W chwili wybuchu II wojny światowej ks. Jan Bukowiec miał ukończone 5 lat. W Żmiącej, jego rodzinnej miejscowości, pojawili się „obcy” w niemieckich mundurach. Pamięta śmierć znajomych, rannych żołnierzy polskich w domu, strach, który kołły ramiona mamy, Zofii Bukowiec. Jego bliscy, bracia Kazimierz i Władysław oraz kuzyn Wincenty wal-

czyli w oddziałach AK. Wspomina udział w Pasterce w 1943 roku, której kulminacyjny moment obwieściła seria z karabinu w lasach pod Jaworzem. A potem rok 1945. Szybko umilkły strzały na wiwat z powodu zakończenia wojny, nadeszła noc czasów stalinowskich. Z rąk UB zginął kuzyn Wincenty Bukowiec. W 1950 roku aresztowano i zamordowano brata ks. Jana, Władysława (o okolicznościach śmierci, odnalezieniu po latach miejsca pochówku na terenie Sowlin, a także o symbolicznym pogrzebie pisaliśmy w „Echu”). W więzieniu prze-



Kościół naznaczony Krzyżami. Fot. Stanisław Ociepka

bywało starsze rodzeństwo - brat Kazimierz (z wyrokiem 12 lat) i siostra Helena (skazana na 10 lat).

Dzięki życzliwości i odwadze nauczycieli ukończył liceum i zdał egzamin maturalny, mimo że był „synem kułaka i bratem bandziora”. Potem nastąpiła tułaczka po Pomorzu i praca w PGRze w Chelmie k. Szczecina; w ten sposób uchronił się przed obowiązkiem pracy w szeregach SP. W 1952 roku podjął najważniejszą decyzję w życiu - wstąpił do Seminarium Duchownego w Tarnowie.

Lata młodości to także przejmująca samotność. Zmarł ojciec, Józef Bukowiec, zamordowano brata, w więzieniu przebywało rodzeństwo Kazimierz i Helena. Na pierwszym roku studiów dotknęła go kolejna tragedia - utracił ukochaną matkę. ▶

► Przez cały czas doskwierały trudne warunki bytowe. Niewielki dochód z gospodarstwa, prowadzonego po śmierci rodziców przez siostrę Stefanię, studentkę KUL-u, przeznaczano na pomoc dla aresztowanych. Silna wola, upór, wsparcie księży oraz przyjaciół rodziny pozwoliły przetrwać i osiągnąć zamierzony cel - został kapłanem.

## **Kapłańska pamiątka po stryju**

W rodzinie Bukowców były kultywowane tradycje religijne. Dziad Piotr Bukowiec wystawił w 1885 roku kaplicę w Żmiącej, w 1909 roku został wyświęcony na kapłana stryj Wojciech. Zmarł w 1948 roku. „Uczestniczyłem w pogrzebie stryja w Żurowej” - wspomina ks. Jan Bukowiec. „Zostały po nim różne drobiazgi. Mnie przypadł krzyż. Do dziś ten obraz w dębowej oprawie jest zawieszony w moim pokoju nad łóżkiem. Najprawdopodobniej to replika krzyża z Seminarium Duchownego w Tarnowie.”

Krzyż dał siłę i wytrwałość. Ks. Jan sprostał trudnym warunkom, a także wysokim wymaganiom stawianym przez kadrę seminarium. W 1957 roku 29 września otrzymał święcenia kapłańskie. Na uroczystość przybył niespodziewanie ks. Bernardyn Dziedziak, który w tym dniu przeżywał odpust w Ujanowicach. Na obrazku prymicyjnym umieścił słowa: „Maryjo, przyjm mnie w opiekę Swoją, o Matko Boska, bądź Matką moją” - jako sierota zawierzał swój los Maryi.

Prymicje były wielkim świętem dla całej parafii. Błogosławieństwa w imieniu rodziców udzielił ks. Janowi profesor Uniwersytetu Lwowskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego ks. Piotr Stach. Otoczony życzliwością rodziny i przyjaciół nie mógł opanować łez. Ujawniły się skrywane przez lata emocje, tragiczne przeżycia. W chwili święceń jego charakter był już ukształtowany. Niezlomność, upór, ufność Bogu - cechy, z którymi rozpoczął nowy rozdział kapłańskiej drogi.

## **Krzyże sowlińskiego kościoła**

Do Sowlin przybył w 1964 roku, aby zastąpić podczas rekonwalescencji ks. kanonika Władysława Ślęka. Miał pozostać w Limanowej 3 miesiące, ale czas

ten wydłużył się o kolejne 50 lat. Był to znak Opatrzności; w Sowlinach, gdzie został pochowany jego zamordowany brat, stanął Kościół pw. św. Stanisława Kostki. O ogromnym trudzie, heroicznych zmaganiach z władzami PRL-u o pozwolenie na budowę, poszukiwaniu miejsca pod świątynię, determinacji proboszcza i parafian pisaliśmy wielokrotnie w „Echu”. Ks. Jan Bukowiec wspominając tamte lata podkreśla, że „Kościół postawił Bóg przy pomocy ludzi”. W artykule z okazji Złotego Jubileuszu Kapłaństwa wspominał: „O prawdziwości tych słów przekonałem się wielokrotnie. Gdy rozpoczęły się prace budowlane i zabrakło pieniędzy na wypłatę dla robotników, nieoczekiwanie otrzymałem wezwanie do chory z prośbą o spowiedź. Po spowiedzi chora wyciągnęła woreczek z oszczędnościami i podarowała na budowę 60 tys. złotych. Wracalem jak na skrzydłach, starczyło i na wypłatę, i na materiały budowlane”.

Budowa postępowała, parafianie wykonywali większość prac, przygotowywali posiłki, załatwiali materiały budowlane. Do pomocy przyszedł pierwszy wikariusz ks. Feliks Górka, a następnie ks. Ryszard Stasik. Dzieło wspierali księża z dekanatu, szczególnie ks. prałat Ludwik Kowalski. W Wielkanoc 1984 roku ks. bp Piotr Bednarczyk poświęcił „dolny kościół”, mieszczący sale katechetyczne i kaplicę. Konsekracji Kościoła pw. św. Stanisława Kostki dokonał ówczesny Ordynariusz Diecezji Tarnowskiej ks. bp Józef Życiński. W tym samym roku nadał ks. Janowi Bukowcowi tytuł Honorowego Kanonika Kapituły Tarnowskiej.

Budowa kościoła została naznaczona krzyżami w znaczeniu metaforycznym i ... dosłownym. „Gdy rozpoczynałem pracę w parafii – wspomina ks. Jan Bukowiec – zamówiłem u kolegi z gimnazjum, artysty Stanisława Augustyna, krzyż i umieściłem go w przedsionku „dolnego kościoła”. Podczas budowy „górnego kościoła” architekt Zdzisław Piekarczyk zwrócił uwagę na pustą ścianę, którą trzeba było wypełnić. Tak powstał krzyż, szeroki na 1 m i o wysokości 7-8 m. Utworzona w ten sposób wnęka o strzeelistym kształcie, od zewnątrz przypomina grot skierowany ku niebu. U stóp krzyża w kościele została umieszczona postać patrona św. Stanisława Kostki. Sylwetka świętego i napięte mięśnie palców mają obrazować współcierpienie z Chrystusem.



Symboliczne otwarcie drzwi kościoła w Sowlinach przez bpa Józefa Życińskiego i proboszcza ks. Jana Bukowca w czasie uroczystości konsekracji kościoła - 16 maja 1993 r.

Kolejny, drewniany krzyż, postawiony został obok wejścia do kościoła jako pamiątka nawiedzenia Cudownego Obrazu Pani Jasnogórskiej w Roku Jubileuszowym. Warto przypomnieć także, że parafia sowlińska znacząco wsparła budowę Krzyża Jubileuszowego na Miejskiej Górce, 37 - metrowego monumentu, postawionego „Ad Maiorem Dei Gloriam”.

Krzyże wieńczą również kopuły dwóch wież kościelnych, wzniesionych dopiero w 2004 roku, gdyż wcześniej władze nie zezwalały na budowę jakichkolwiek elementów ponad zasadniczy gabaryt. Autorem projektu był Leszek Pilawski, a pierwszy rysunek wykończenia kościoła pojawił się w zeszycie jego wnuczki, Karoliny Pilawskiej. Właśnie te wieże poświęcił w sobotę 24 maja br. Ordynariusz Diecezji Tarnowskiej ks. bp Andrzej Jeż, przybyły na uroczystość jubileuszu 50 -lecia pobytu ks. prałata Jana Bukowca w parafii w Sowlinach. Uwieńczył w ten sposób dzieło życia Jubilata.

## **Jesień życia w jedności z Krzyżem**

Ksiądz Jan Bukowiec od 10 lat przebywa na emeryturze. Jest szczególnie wdzięczny obecnemu proboszczowi ks. Tadeuszowi Śmierciakowi za udzielenie



mu gościny i pomoc. Nie wyobraża sobie życia w innym miejscu, Sowliny to jego prawdziwy dom. Jesień życia upływa w cieniu kościoła, w otoczeniu życzliwych parafian, którzy sprawują nad ks. Janem opiekę. Odwdzięczają się w ten sposób za 50 lat posługi kapłańskiej, niezliczone Msze Św., nabożeństwa, udzielane sakramenty, służbę w konfesjonale, przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katechezy oraz służbę wśród chorych w szpitalu i w Domu Pomocy Społecznej.

Wspaniałą okazją do okazania wdzięczności ks. Janowi Bukowcowi oraz dziękczynienia Bogu za 50 lat pobytu Jubilata w Sowlinach była wspomniana już uroczystość w majową sobotę 24 maja br. Licznie przybyli na nią parafianie, zaproszeni goście, przedstawiciele Kościoła i władz samorządowych, reprezentanci szkół i instytucji. Koncelebrze Mszy Św. przewodniczył Ordynariusz Diecezji Tarnowskiej ks. bp Andrzej Jez, który wygłosił okolicznościową homilię. Poruszający dla wszystkich był widok Jubilata, który ze względów zdrowotnych rzadko pojawia się w kościele. Ks. Jan dziękował ze wzruszeniem za lata życzliwości, za wyrozumiałość dla jego charakteru i za kościół, który „postawił Bóg przy pomocy ludzi”. Mówił również o krzyżach na drodze jego życia.

Oprócz różnych przeciwności i rodzinnych tragedii jego udziałem stało się cierpienie fizyczne. Kilkakrotne operacje, choroby, ograniczenia sprawności fizycznej nie odebrały mu hartu ducha ani wewnętrznej pogody. Ze względu na stan zdrowia codzienną Mszę Św. odprawia na plebanii, w zaimprovizowanej kaplicy, wydzielonej z jadalni. Na ścianie widnieje duży, drewniany krzyż...

Z ufnością patrzy w przyszłość, zawierając siebie i parafian opiece Matki Bożej i Bożemu Miłosierdziu. Jego niezłomny i wiecznie młody duch stanowi dla wielu, także i dla autorki tego artykułu, źródło siły, pogody i wiary.

Dziękując za życzliwą współpracę, życzymy Czcigodnemu Jubilatowi długich lat życia i nieustającej Opieki Opatrzności Bożej.

**Tekst: Iona Machowicz-Jurowicz**  
**Fotografie: arch. parafii Sowliny,**  
**Franciszek Natanek**



Życzenia Jubilatowi składali m. in.: ks. bp tarnowski Andrzej Jez, przewodnicząca Rady Miasta Limanowa Irena Grosicka z burmistrzem miasta Władysławem Biedą.



Ksiądz prałat Jan Bukowiec wspomina 50 lat posługi kapłańskiej w Sowlinach.

# Pół wieku na chwałę Bogu i Bolesnej Matki

## 50-lecie kapłaństwa Ks. Prałata Józefa Poręby

### *Wielcy przewodnicy ludu*

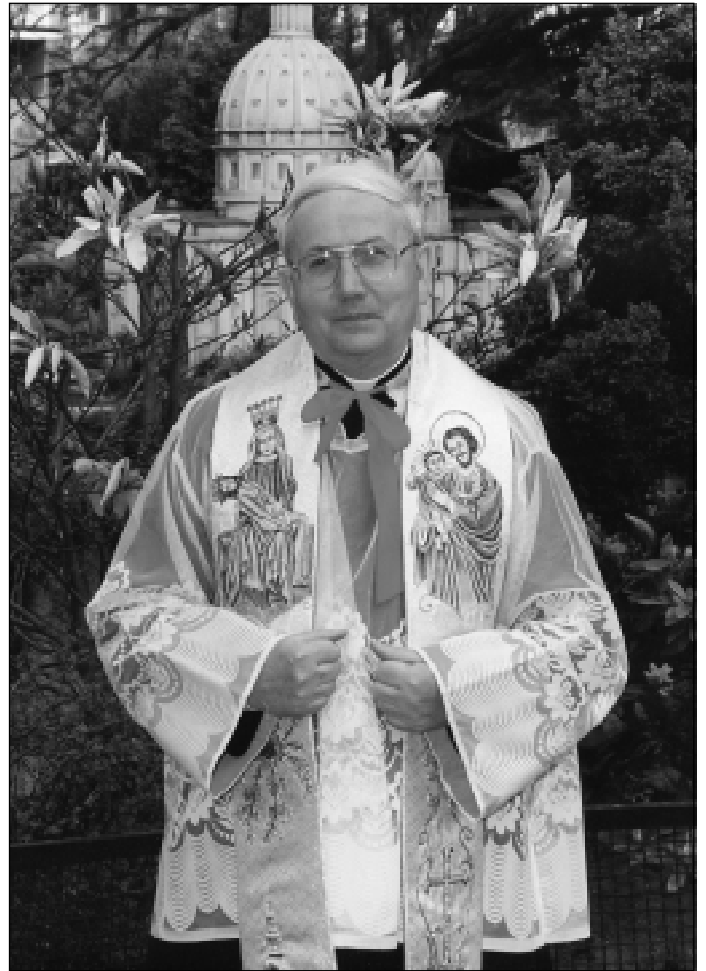
Był rok 1979. Dotychczasowy limanowski proboszcz ks. *Ludwik Kowalski* ukończył 78 lat i przeszedł na emeryturę. W diecezji snuto domysły, kto będzie jego następcą i podawano różnych kandydatów. Parafia bowiem w Limanowej miała w swej historii proboszczów o wybitnych osobowościach, a urząd ten pełnili bardzo długo. I tak: ks. *Szczepan Duszyński* – budowniczy poprzedniego, drewnianego kościoła i założyciel obecnego cmentarza parafialnego był proboszczem przez 29 lat (1774–1803). Był też dziekanem dekanatu nowosądeckiego. Jego bratanek ks. *Jan z Matha Duszyński*, który przekazał parafii zakupiony na Lipowem majątek, był proboszczem w Limanowej przez 33 lata (1804–1837). Kolejnym proboszczem był ks. *Jan Warpecha*, góral z Maruszyny, twórca bogatej biblioteki parafialnej i dziekan tymbarski, który posługę proboszcza wypełniał przez 40 lat (1837–1877). Przez 12 lat przewodniczył po nim parafii ks. *Jan Nepomucen Borowski* (1878–1890). Rekordzistą był ks. *Kazimierz Łazarzski*, rodem z Jordanowa, budowniczy obecnej świątyni i późniejszy dziekan (1930–1938) utworzonego w 1891 r. dekanatu limanowskiego. Proboszczował w Limanowej aż 54 lata (1890–1944). Najkrócej, bo tylko 68 dni na przełomie 1946/47 był tu proboszczem kapelan ks. płk dr *Antoni Zapala*. Wcześniej był on kapelanem wojskowym i dziekanem Wojska Polskiego. To on pochował w Warszawie byłego marszałka Polski Edwarda Rydza – Śmigłego. Zmarł nagle. Po nim proboszczem przez 32 lata (1947–1979) był ks. prałat dr *Ludwik Kowalski*. Pochodził z pobliskich Koszar. Przyczynił się do ożywienia kultu św. Kingi. Wcześniej był proboszczem w Wierzchosławicach i tam, w 1945 r. organizował pogrzeb Wincentego Witosa – przywódcy chłopskiego i trzykrotnego premiera w II Rzeczypospolitej. W Limanowej natomiast wybudował obecną plebanię, dom parafialny przy ul. Kościuszki 3 i budynki gospodarcze. Przygotował parafię do koronacji łaskami słynącej Piety. Był dziekanem dekanatu limanowskiego. Po przejściu na emeryturę rezydował w Limanowej. Zmarł w 1983 r.

Uwzględniając to wszystko, wbrew różnorodnym domysłom, ówczesny biskup tarnowski Jerzy Ablewicz zamianował następcą księdza Kowalskiego jego wikariusza, ks. Józefa Porębę. O nominacji tej dowiedział się w czasie pielgrzymki do Ziemi Świętej z ust ks. bp Piotra Bednarczyka.

Kim jest następca tak wielkich poprzedników?

Również on był proboszczem w Limanowej długo, bo 31 lat, a wcześniej przez 9 lat był tu wikariuszem.

Osobie i dokonaniom ks. Józefa Poręby poświęcono już bardzo dużo uwagi, między innymi: w monografii „Limanowa. Dzieje miasta” tom II, 1945-1989 str. 448-449.; w „Księdze



Ks. Prałat Józef Poręba.

limanowian” str. 501-502; w „Echu Limanowskim”, nr 180-181, rok 2009, str. 1-9, z okazji 30-lecia probostwa i 45-lecia kapłaństwa i innych.

W tym roku ks. prałat Józef Poręba przeżywa złoty jubileusz kapłaństwa. Godzi się przy tej okazji przypomnieć o tym co już napisano oraz dopowiedzieć to, co należy dostrzec przy tej okazji. Osobę Czciwego Jubilata dane mi było poznać bliżej, gdy był jeszcze limanowskim katechetą, potem w latach 1982-1988, gdy byłem jego wikariuszem, a od 2008 roku rezydując w tutejszej parafii.

### ***Młodość życia i kapłaństwa***

Ksiądz Józef Poręba urodził się 9 maja 1940 r. w Mystkowie koło Nowego Sącza, w parafii Świętych Apostołów Filipa i Jakuba Młodszego. Rodzicami jego byli Stanisław Poręba i Wiktoria z domu Kielbasa. Pracowali na roli. Ojciec przed wojną i w

czasie wojny był zaangażowany w sprawy patriotyczne. Aresztowano go i stracono w 1941 r. w Biegonicach. Matka Wiktoria dożyła sędziwych 97 lat. Zmarła w 2011 roku. Ksiądz Józef ma jedną rodzoną siostrę i trzy przyrodnie. Do szkoły podstawowej w latach 1947-1954 uczęszczał w Mystkowie, a do Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej (1954-1958) w Nowym Sączu. Po zdaniu matury w 1958 r. wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie i po sześciu latach formacji, 28 czerwca 1964 r. biskup Jerzy Ablewicz udzielił mu święceń kapłańskich. Wyświęcił wtedy 28 księży. Na obrazku prymicyjnym umieścił słowa: „*Wszystko Tobie oddać pragnę i dla Ciebie tylko żyć*”. Po święceniach był wikariuszem w parafii Matki Bożej Różańcowej w Lisiej Górze (1964-1967), a następnie w parafii katedralnej w Tarnowie, której patronuje Maryja w tajemnicy Jej Narodzenia. Czczona jest tam też Pieta. Wikariuszem katedralnym był przez 3 lata (1967-1970). Równocześnie dojeżdżał do Krakowa na wykłady z liturgiki w Papieskiej Akademii Teologicznej. Liturgią interesował się już w latach seminaryjnych, w czasie których był ceremoniarzem odpowiedzialnym za piękno kultu Bożego.

W 1970 roku w Limanowej nastąpiła wymiana wszystkich czterech wikariuszy. Jednym z nowo przybyłych kapłanów był ks. Józef Poręba. Proboszcz ks. Kowalski zlecił mu katechizację w szkołach średnich, a mianowicie w Liceum Ogólnokształcącym i Zespole Szkół Mechaniczno-Elektrycznych. W przeszłości w szkołach tych uczyli religii tacy znani katecheci jak ks. Władysław Gibała i ks. Stanisław Mlyczyński. Oprócz przekazu prawdy wiary stanęła przed księdzem Józefem, jak zresztą przed każdym kapłanem, sprawa budzenia nowych powołań, zwłaszcza w Limanowej. W sąsiadujących z miastem parafiach były powołania kapłańskie i zakonne, ale w parafii limanowskiej przez 17 lat nie wyświęcono ani jednego kapłana rodaka. Zaangażował się więc w ogólnodiecezjalne dzieło budzenia powołań. Organizował w Limanowej spotkania dla młodzieży pragnącej pogłębiania wiary i posyłał ją na powołaniowe oazy. By utrzymać więź studentów z Limanową wprowadził zwyczaj spotkań byłych uczniów z okazji Bożego Narodzenia (Opłatek) i Wielkanocy. Wielką uwagę przykładał do liturgii, a także do oprawy artystycznej uroczystości. Był otwarty dla innych, zwłaszcza kleryków z innych parafii, których zapraszał i włączał w życie limanowskiego sanktuarium. Realizował to, co było w zamyśle wielkiego promotora kultu Matki Bożej Bolesnej ks. bp. Piotra Bednarczyka.

## **Limanowski proboszcz i dziekan**

14 lipca 1979 r., w 15. roku kapłaństwa, ks. Józef Poręba został zamianowany proboszczem i dziekanem dekanatu limanowskiego. Parafia sanktuaryjna miała wtedy bardzo rozciągnięty obszar – obejmowała teren od Ostrej, aż do Pisarskich Gór. Należały do niej – miasto Limanowa oraz Stara Wieś, Lipowe i Mordarka. Liczyła kilkanaście tysięcy wiernych. Posługiwał w niej proboszcz, czterech wikariuszy, katecheta - ks. Jan Rachwał, penitencjarz – ks. Władysław Ślęk oraz rezydent. Po przeniesieniu szpitala ze Sowlin do nowego gmachu (1976r.) jeden z wikariuszy zajmował się tam chorymi. Potem Kuria diecezjalna przydzieliła dodatkowo kapłana, który był kapelanem szpitala. Powiększała się także w miarę potrzeb ilość wikariuszy oraz spowiedników. Pomocą katechetyczną służyły też siostry szarytki, które od 1944 roku mają tu w Limanowej swoją placówkę.

Początek proboszczowania Księdza Józefa nie był łatwy. Musiał bowiem ogarnąć całość spraw duszpasterskich, administracyjnych, gospodarczych i sanktuaryjnych oraz dekanalnych. Pierwszym wyzwaniem była zmiana poszycia dachu na kościele, który w wielu miejscach przeciekał. O zmianie tej myślał już ks. prałat Kowalski i zakupił nawet dachówkę podobną do oryginalnej, którą pokryto dach w 1913 roku. Kupiona dachówka zaczęła się jednak kruszyć zanim ją założono. Nowy proboszcz myślał nawet o zakupie dachówki w Austrii, ale ze względu na koszt nie mogła sobie na to pozwolić parafia. Ostatecznie, za zgodą konserwatora zabytków, zdjęto dachówki z dachów podcieni i uzupełniono nimi popękane na dachu nowymi. Podcienia zaś pokryto blachą miedzianą. W czasie prac remontowych prezbiterium było obudowane rusztowaniami. 27 maja 1981 roku świętokradca zabrał koronę z cudownej figury. Był to cios dla proboszcza i parafian. Dzięki wierze i wytrwałości, spokojowi i kulturze oraz podejściu do ludzi ks. Józef umiał wyjść zwycięsko z tych trudnych doświadczeń. Postarano się o nowe korony, a ponownej koronacji Piety dokonał osobiście na krakowskich Błoniach Jan Paweł II, 22 czerwca 1983 roku.

Ksiądz Poręba miał głęboką i daleką wizję rozwoju sanktuarium. Do jego funkcjonowania potrzebne było zaplecze materialne. Były to czasy trudne. Brakowało przede wszystkim materiałów budowlanych. Mimo to jego staraniem wzniesiono dom katechetyczny, gdyż do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia nie było nauki religii w szkole. W następnych latach rozbudowano z rozmachem cały kompleks sanktuaryjny. Bardzo dużo uwagi przykładał ks. Józef do tego, aby wewnątrz kościoła i jego otoczenie, a także budynek parafialny były estetyczne i schludne, a w lecie pięknie ukwiecone. Dbał o zabytki i cmentarz. Dzięki jego staraniom limanowska rodaczka s. Bogumiła Jabrucka – karmelitanka wyhaftowała do sanktuarium wiele ornatów, sukienek do przyozdobienia Piety i innych szat liturgicznych.

W przeszłości parafia limanowska była bardzo bogata. Miała 208 ha lasu w Starej Wsi i kilkadziesiąt hektarów pola. W 1950 r. majątek ten został znacjonalizowany i przeszedł na skarb państwa. Dzięki współpracy księdza prałata z ówczesnym posłem na Sejm Stanisławem Rakoczym i prof. Wiesławem Chrzanowskim udało się odzyskać około 50 ha lasu.

Jako proboszcz akceptował i wspierał różnorakie nowe grupy apostołskie, aby wychowywać je do odpowiedzialności za Kościół. Doceniał też istniejące już wspólnoty. Wykorzystywał wiele okazji, by podkreślić tradycje patriotyczne Limanowej, bowiem limanowska świątynia jest wotum Konstytucji 3 Maja. Chętnie brał udział w różnych wydarzeniach, które dokonywały się w mieście i okolicy. Przyczynił się do organizacji koncertów organowych w kościele, konkursu palm i szopek, powstania muzeum sanktuaryjnego (1988 r.), otwarcia w 1980 r. biblioteki parafialnej oraz do publikacji o kościele i parafii. Dzięki niemu powstał sklep z książkami i pamiątkami religijnymi. Na Placu Koronacyjnym w krążgankach zgromadził prawie sto figurek z różnych sanktuariów świata, tworząc niezwykłą, unikatową kolekcję wizerunków Matki Bożej Królowej Świata. W trosce o pomoc zmarłym oraz piękno cmentarza wprowadził tzw. wiosenny Dzień Zmarłych. By ubogacić przeżycia duchowe cieszył się, że z Limanowej są pielgrzymki do innych sanktuarium w kraju i zagranicą. ▶

▶ Z limanowskiej parafii pochodzi aktualnie ponad 30 kapłanów. Większość z nich przeżywała prymicje za jego proboszczowania. Czas jego proboszczowania zbiegł się z pontyfikatem św. Jana Pawła II. Pontyfikat ten został upamiętniony pomnikiem Papieża – Rodaka (przed bazyliką) autorstwa prof. Czesława Dźwigaja, szlakami papieskimi, Krzyżem Jubileuszowym na Miejskiej Górze, innymi pamiątkami i przeżywaniem papieskich uroczystości.

W latach pełnienia przez niego urzędu proboszcza Limanowa przeżywała wiele podniosłych uroczystości. Między innymi: rekonstrukcja Piety (22 czerwca 1983 r.); nawiedzenie relikwii św. Urszuli Ledóchowskiej (18-19 maja 1989 r.) oraz św. Teresy od Dzieciątka Jezus (17 maja 2005 r.). W 1995 r. 11 grudnia nawiedziła Limanową figura Matki Bożej z Fatimy, a potem była peregrynacja kopii Jasno-górskiej Ikony (2-3 lipca 2000 r.). Było też podniesienie limanowskiej świątyni do godności Bazyliki Mniejszej (1991 r.) oraz uroczystości w roku Wielkiego Jubileuszu Odkupienia (2000 r.). W parafii prężnie działa Caritas oraz Poradnia Rodzinna.

Jako proboszcz miał dużo taktu i cierpliwości. Umiał rozmawiać z ludźmi przyjaznymi i nie. Postawa taka potrzebna była w kancelarii parafialnej, w urzędach państwowych oraz w rozmowach prywatnych.

Przez cały czas proboszczowania w Limanowej pełnił też funkcję dziekana w dekanacie. Gdy rozpoczął swój urząd, dekanat liczył 8 parafii. W ciągu lat jego posługi erygowano oficjalnie jeszcze 5 parafii (Limanowa – Sowliny – 1980 r.; Zalesie – 1980 r.; Słopnice Górne – 1981 r.; Stara Wieś – 1987 r.; Mordarka – 2011 r.). Jako dziekan co roku wizytował poszczególne parafie. Cieszył się szacunkiem kapłanów i wprowadzał rodzinną atmosferę. Pamiętał o imieninach kapłanów. Jako dziekan instalował nowych proboszczów, ale też odprowadził kilkunastu na miejsce wiecznego spoczynku. Współorganizował pogrzeb ks. bpa Piotra Bednarczyka w 2001 roku. Słynął z gościnności. Te liczne dokonania w parafii i dekanacie możliwe były dzięki współpracy z kapłanami posługującymi w sanktuarium. Tyczy to zwłaszcza katechizacji. Tak np. w roku szkolnym 1986/87 katechizowano 2587 uczniów w szkołach podstawowych, 1769 w szkołach średnich. Katecheza odbywała się wtedy poza szkołą. Było po jednej lekcji tygodniowo. Katechizowało 5 kapłanów i 2 siostry zakonne. Obecnie katecheza odbywa się w szkole i są jej po 2 godziny. Zwiększyła się liczba uczących i zmieniły warunki nauczania.

W ciągu 35 – letniego proboszczowania ks. prałata Józefa Poręby posługiwało w parafii 50 wikariuszy oraz wielu spowiedników i pomagających innych kapłanów.

## Kustosz Piety

Urząd limanowskiego proboszcza jest nierozłączny z troską o rozwój kultu Matki Bożej oraz bezpieczeństwo cudownej Piety. Nic więc dziwnego, że po kradzieży korony, kustosz bardzo wzmógł środki ostrożności. Figurę zabezpieczono metalową zasłoną i szybą kuloodporną oraz zatrudnił stróżów, którzy każdą noc strzegą Piety wewnątrz kościoła. Natomiast na zewnątrz mężczyźni – wolontariusze pilnują obecnie świątyni. Za czasów ks. Poręby zasłynęło sanktuarium limanowskie z licznych, przygotowanych i rozbudowanych odpustów. Rozwinął się też bardzo ruch pielgrzymkowy, zwłaszcza piesze parafialne pielgrzymki z powiatu limanowskiego. W czasie wrześnieowego wielkiego odpustu wprowadzono nabożeństwo dla różnych stanów i zawodów, pielgrzymkę Romów, uroczyste dożynki, pielgrzymkę do Kaplicy Łaski. Zaprowadził też w czerwcu odpust młodzieżowy upamiętniający rekonstrukcję,



Ksiądz prałat Józef Poręba wita nowego proboszcza parafii limanowskiej ks. Wiesława Piotrowskiego.

Dzień Chorego – 11 lutego ze słynnymi bułeczkami M. B. Bolesnej, a w 1986 r. Różaniec Fatimski. W sanktuarium limanowskim kilka razy w roku odbywa się czuwanie nocne, Droga Krzyżowa na Miejską Górę i Droga Matki Boskiej Bolesnej. Ks. prałat Poręba wprowadził też codzienną adorację Najświętszego Sakramentu, brewiarz odmawiany przez świeckich, modlitwę różańcową. Aby w ciągu dnia przechodnie pamiętali o kulcie Bożym, obok kościoła powstał carillon z 18 dzwonekmi wybijającymi maryjne pieśni. Ponieważ modlitwą jest także śpiew, dzięki jego wsparciu powstały przy bazylice chóry: chłopięcy „Pueri cantores” oraz mieszany „Canticum Iubilaeum”. Wiedząc, jak ważną rolę odgrywa posługa słowa Bożego sam przez kazania przygotowywał wiernych do dobrego przeżycia odpustu i podawał co roku inne jego hasło. W bardzo serdecznych słowach witał sam albo poprzez oddelegowanych kapłanów przybywających pielgrzymów. Zapraszał na odpusty i uroczystości znanych kaznodziejów, aby ubogacać życie duchowe słuchających. Doceniał rolę świeckich przewodników kalwaryjskich w prowadzeniu pielgrzymek, nabożeństw i procesji. Troszczył się o dokumentację kultu, zaistniałych cudów, czy odwiedzających pielgrzymów. Dzięki otwartości ks. prałata Poręby od 1992 r. przy limanowskim sanktuarium funkcjonuje diecezjalne centrum dla osób niepełnosprawnych.

## Złoty jubileusz

Za solidne wypełnianie posługi proboszcza i kustosza ks. Józef Poręba został uhonorowany wieloma odznaczeniami kościelnymi i świeckimi. Największym jednak docenieniem jest pamięć i wdzięczność, to co pozostało w ludzkich sercach oraz jak ocenia nas Bóg.

W roku 2010 ks. prałat Józef Poręba zgodnie z przepisami prawa diecezjalnego przeszedł na emeryturę, ale nadal posługuje, gdzie jest potrzeba.

Jubileusz 50-lecia kapłaństwa to czas niezwykły. To Boży dar. Ileż wydarzeń dokonało się w tym okresie? Jest to czas dziękczynienia, ale i rachunku sumienia z przeszłości. Każdy człowiek ma przecież jakieś słabości.

Czcigodny Jubilat – Ks. Prałat Józef Poręba wpisuje się w poczet wielkich przewodników ludu przywołanych na początku tego rozważania. Doceniając Jego dokonania, życzymy wszelkich Bożych łask. Księżo Jubilacie „Plurimos annos!”

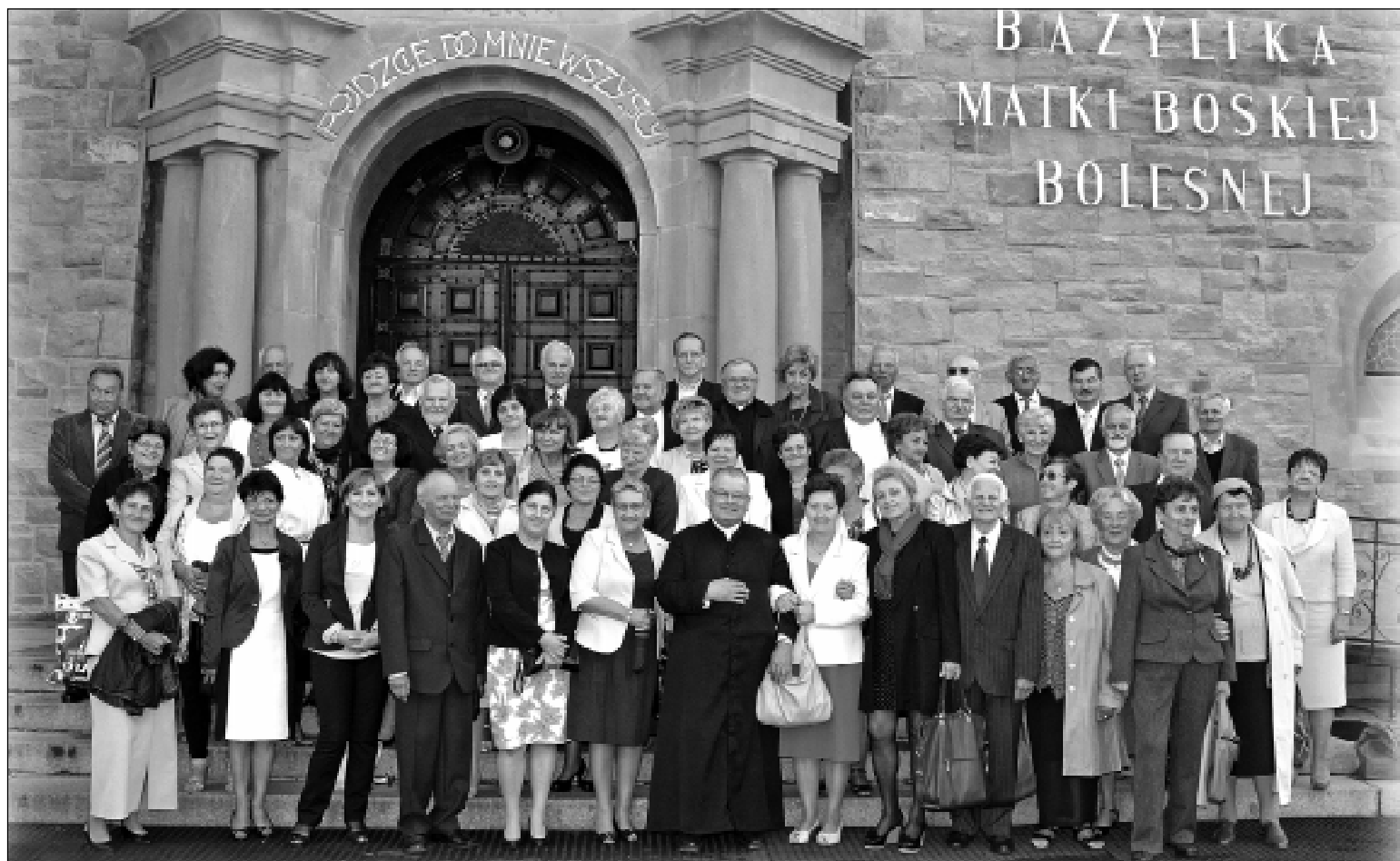
Na Chwałę Boga i Bolesnej Matki!



**Jubileusz 50-lecia  
Kapłaństwa  
Ks. Prałata Józefa Poręby**



Fotografie: Stanisław Ociepka



Jubilaci przed bazyliką w Limanowej - 14 czerwca 2014 roku.

Studio Foto Wiesław Giza

# Szanujcie wspomnienia

## 45-lecie matury

Ks. Stanisław Wojcieszak

Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana to pionier wśród szkół średnich w Limanowej. Szkoła powstała na bazie tajnego nauczania w okresie okupacji i zaczęła funkcjonować od lutego 1945 roku. Jej założycielami byli Antoni Bieda i Stanisław Ceglarz. Od zaistnienia do 1963 r. mieściła się w budynku w Sowlinach. Pierwszą maturę w lipcu 1945 zdało 21 uczniów. W lipcu 1963 oddano do użytku nowy, obecny budynek liceum, który w kolejnych latach rozbudowano i zmodernizowano. 11 listopada 1968 r. nadano szkole patronat Władysława Orkana – piewcy Podhala i Limanowszczyzny. W 1995 roku uroczyście obchodzono 50-lecie Liceum. Wtedy też ufundowano dla szkoły nowy sztandar i doszło do wielokoleniowego spotkania absolwentów. Aktualnie w maju 2014 roku Liceum ma 635

uczniów. Nauka trwa 3 lata. Na każdym roku jest po 7 oddziałów. W ciągu prawie 70 lat istnienia szkołę tę ukończyło tysiące abiturientów. Szczególnym był rok 1968/69, kiedy to maturę zdało 200 osób. Absolwenci z tego roku urodzili się w większości w 1951 roku i uczęszczali do szkoły podstawowej przez siedem lat. Kolejne roczniki szkołę tę realizowały przez 8 lat, z powodu czego w 1970 r. matury nie było.

### **Uczniowie**

Maturzyści z 1969 rozpoczęli naukę w Liceum w 1965 roku. Po zdaniu egzaminów wstępnych, pisemnych i ustnych z języka polskiego i matematyki, przyjęto 236 uczniów, 160 dziewcząt i 76 chłopców. Utworzono wtedy 6 oddziałów. Na zwiększenie liczby oddziałów wyraziło

zgodę Kuratorium Oświaty. Według obowiązującego wówczas programu nauczania nauka w liceum trwała przez cztery lata, a roczniki liczone od klasy VIII do XI. I tak w omawianym roku 1965/66: kl. VIII „a” – miała 38 uczniów, 19 chłopców i 19 dziewcząt, a wychowawcą był Aleksander Banaś, zaś od klasy IX do XI Olga Illukiewicz; kl. VIII „b” – liczyła 40 uczniów, 18 chłopców i 22 dziewczęta, wychowawcą był przez wszystkie lata Józef Zboś; kl. VIII „c” – miała 40 dziewcząt, wychowawczynią była Maria Lupa, a od kl. IX do XI Józef Staniszewski; kl. VIII „d” – liczyła 39 uczniów, 18 chłopców i 21 dziewcząt, wychowawcą był Antoni Boczulski, w klasach: IX do XI Anieła Zboś; kl. VIII „e” liczyła 41 osób, 21 chłopców i 20 dziewcząt, wychowawcą

przez wszystkie kata była Zofia Wazio; kl. VIII „f” liczyła 38 dziewcząt, a wychowawczynią była Janina Cybura.

Uczniowie wywodzili się w większości ze wsi powiatu limanowskiego oraz z samego miasta. Do szkoły dochodzili albo dojeżdżali pociągami lub autobusami. Korzystali z biletów miesięcznych. Przed lekcjami lub po wstępowali do kościoła w Limanowej. Obowiązywał ich odpowiedni strój, ciemna spódniczka lub spodnie i także marynarka oraz biała bluzka lub koszula, codziennym strojem były granatowe chałaty z białym kołnierzykiem. Musieli mieć też przyszytą na ramieniu tarczę szkolną, pod nią belki informujące, w której się jest klasie. W szkole należało chodzić w obuwii zastępczym. Bez tarczy i obuwia zastępczego nie wpuszczali do budynku szkolnego dyżurny przy wejściu nauczyciele. Nie wolno było palić papierosów, a uczniowie w szkole i poza mieli zachować się godnie. Nie mogli też korzystać z lokali gastronomicznych. Szkoła nie miała internatu, więc niektórzy mieszkali, zwłaszcza w zimie, na stacji.

## Zajęcia

Zajęcia rozpoczynały się o godz. 8<sup>00</sup>. Przerwy były po 10 minut oraz dwie dłuższe po 20. W czasie przerwy obiadowej (drugiej o godz. 13<sup>30</sup>) można było spożyć posiłek, w szkole bowiem była stolówka i sklepik. Z powodu dużej ilości uczniów w latach 1965/66 i 1966/67, niektóre klasy miały zajęcia na drugą zmianę i rozpoczynały je o godz. 12<sup>45</sup>, a kończyły około 19<sup>20</sup>. Tygodniowo było ponad 30 godzin lekcyjnych, a zajęcia odbywały się od poniedziałku do soboty włącznie. Oprócz lekcji w szkole była też przed nimi lub po katecheza w budynku parafialnym przy ul. Szwedzkiej (obok cmentarza).

Rok szkolny rozpoczynał się 1 września, a kończył 24 czerwca. Podzielony był na cztery okresy: I – od września do połowy listopada; II – do końca stycznia; III – do połowy kwietnia; IV – do końca roku. Pod koniec każdego okresu była klasyfikacja uczniów i śródkresowa wywiadówka. Ferie zimowe trwały dwa tygodnie. Rozpoczynały się tuż przed wigilią, kończyły 5 stycznia. Były też ferie wiosenne w okresie świąt wielkanocnych. Wychowawca klasy wyznaczał co tydzień trzech dyżurnych. W szkole był sekretariat i biblioteka. Ważną rolę odgrywała też wozna i sprzątaczkę. Co jakiś czas dyrektor zwoływał do hallu uczniów wszystkich

klas na apel w sprawach aktualnych. Według odgórnych programowych wytycznych w szkole nie wolno było mówić o sprawach religijnych i o prawdach historycznych. Większość nauczycieli podchodziła do tego roztropnie. Istniały też takie organizacje jak Związek Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), Tow. Przyj. Polsko-Radz. (TPPR), Związek Harc. Polskiego (ZHP), Polskie Tow. Turyst. Kraj. (PTTK), Liga Obrony Kraju (LOK) i Polski Czerwony Krzyż (PCK). Prawie połowa uczniów nie należała jednak do żadnej z nich. Uczniowie angażowali się też w prace społeczne np. przy porządkowaniu boiska szkolnego, stadionu czy cmentarza na Jabłońcu, przy sadzeniu drzewek, systematyczną pomoc ubogim rodzinom. Wielu uczniów rozślawiało szkołę dobrymi wynikami sportowymi.

## Życie szkoły

W 1966 roku było Millenium Chrześcijaństwa w Polsce. Jubileusz ten nazwano 1000-leciem Państwa Polskiego. Z tej okazji organizowano systemowe uroczystości. Byliśmy świadkami ataków na Kościół w związku z Listem Biskupów Polskich do Niemieckich wzywających do wzajemnego przebaczenia. 11 września 1966 r. była koronacja limanowskiej Piety poprzedzona wielkimi przygotowaniem ze strony parafii i diecezji tamowskiej. By niezmierzli młodzieży szkół średnich udział w tej uroczystości, zorganizowano odgórnie bezpłatny przejazd na różnorakie atrakcje do Mszany Dolnej. Ze względu na bardzo małą frekwencję wyjazd się nie udał.

Szczególnością uroczystością było nadanie szkole im. Władysława Orkana. Uroczystość ta odbyła się 11 listopada 1968 r. w pięćdziesiątą Rocznicę Odzyskania Niepodległości. Wówczas to ufundowany został sztandar oraz wykonano płaskorzeźbę Orkana na frontonie budynku, a także rzeźbę w drewnie, którą wykonał Władysław Jania – adiunkt ASP w Warszawie.

Organizowano także rocznicowe obchody: Dnia Wojska Polskiego, Rewolucji Październikowej, Wyzwolenia Limanowej, a także Dzień Nauczyciela. Co roku młodzież zobowiązana była uczestniczyć w pochodach pierwszomajowych. Wielu uczniów jednak nie przychodziło na nie. Były również organizowane szkolne wycieczki np.: do Warszawy (3 dni), do teatru w Krakowie, po górach. Kilka razy cała szkoła uczestniczyła w seansach fil-

mowych w kinie „Sojusz”. Smutną uroczystością był pogrzeb Lucji Golińskiej z kl. XI „a” zmarłej w grudniu 1968 roku.

## Nauczyciele i nauczanie

Nauczyciele pełnili w szkole rolę szczególną. Nazywaliśmy ich profesorami i tak zwracaliśmy się do nich. Dyrektorem był Wilhelm Tabor, zastępcą Józef Zboś. Wszystkich zachowujemy we wdzięcznej pamięci, gdyż dołożyli wszelkich starań, by dobrze przygotować wychowanków do życia. Aktualnie żyje jeszcze 13 naszych profesorów: *Aleksander Banaś, Janina Cybura, Marian Cycoń, Piotr Chmiel, Romana Czaplinska (Wojtas), Anna Jasica, Franciszek Kościsz, Stanisław Kurzeja, Maria Lupa, Marian Rojek, Teresa Sokołowska - Biedroń, Teresa Wrzaszczyk, Aniela Zboś*. Ważną rolę odgrywała nauka języka polskiego. Przez wszystkie cztery lata było go po 5 godzin tygodniowo. Języka ojczystego uczyli: *Maria Czerw, Jadwiga Kowalczyk i Barbara Salawa*.

Matematyka była w pięciogodzinnym wymiarze tygodniowym przez trzy lata, a w ostatnim o godzinę mniej. Uczyli jej: *Józef Zboś, Józef Staniszewski, Janina Cybura* i przez rok *Maria Lupa*. Historii było trzy godziny. Uczyli jej: *Olga Illukiewicz, Antoni Boczulski i Piotr Chmiel*. Geografia była przez trzy lata po dwie godziny. Uczyli jej: *Wilhelm Tabor i Andrzej Gibas*. W klasie naturalnej zamiast geografii była astronomia. Uczyli jej nauczyciele geografii. Biologii było po dwie godziny tygodniowo, a w klasie XI jedna. Uczyli jej: *Teresa Joniec – Juszcak, Jacek Odziomek i Romana Czaplinska*. Fizyki były trzy godziny w tygodniu. Nauczycielami jej byli: *Franciszek Kościsz, Jan Kowalski, Maria Lupa, Janina Cybura, Józef Zboś*. Chemii – były dwie godziny na tydzień. Uczyli jej: *Jacek Odziomek, Teresa Joniec – Juszcak, Romana Czaplinska*. Rysunek i zajęcia techniczne po dwie godziny od klasy VIII do X. Prowadziła je *Zofia Rysz*. Języków obcych uczono po trzy godziny tygodniowo - język rosyjski: *Teresa Sokołowska – Biedroń, Zofia Wazio, Anna Jasica i Anna Łozińska* i język niemiecki: *Teresa Wrzaszczyk, Irena Trystuła, Piotr Chmiel, Stefania Tokaryk*. Wychowania fizycznego było po dwie godziny tygodniowo w dwóch grupach. Zajęcia prowadzili: *Aleksander Banaś i Aniela Zboś*. W X i XI klasie było przysposobienie wojskowe (obronne), po dwie

► godziny tygodniowo w dwóch grupach. Zajęcia prowadzili: *Antoni Boczulski*, *Marian Rojek*, *Stanisław Kurzeja*. W klasie XI były też trzy godziny w tygodniu wychowania obywatelskiego, którego uczył *Marian Cycoń*. Jedną godzinę higieny uczyła w klasie maturalnej *Romana Czaplinska*. Każdy z wychowawców prowadził też w tygodniu lekcję wychowawczą. Tygodniowo była też jedna godzina religii, przed lekcjami lub po. Uczęszczali na nią dobrowolnie prawie wszyscy. Od klasy VIII do X katechetą był bardzo ceniony przez młodzież *ks. Stanisław Mlyczyński*. W klasie XI katechetą był *ks. Zdzisław Zabiłny*.

## Matura A. D. 1969

Przed maturą w czasie ferii zimowych, kilkudziesięciu uczniów wzięło udział w rekolacjach dla maturzystów w Ciężkowicach. Zajęcia w klasie XI zakończyły się oficjalnie 30 kwietnia 1969 r. (w środę). Potem, od 2 do 17 maja prowadzone były w szkole nadobowiązkowe zajęcia fakultatywne z przedmiotów zdawanych na maturze.

Pisemny egzamin dojrzałości był wtedy 19 maja – język polski i 20 maja – matematyka. Po kilku dniach, gdy poprawiono wypracowania, były egzaminy ustne. 10 czerwca nastąpiło rozdanie dyplomów i pożegnanie maturzystów. W 1969 roku Liceum miało 578 uczniów. W klasach maturalnych było 210 osób. Maturę zdało 200.

Od zdania matury absolwenci z Liceum, rocznik 1968/69 spotkali się z okazji rocznic maturalnych siedem razy (1979, 1984, 1989, 1994, 1999, 2004, 2009). 14 czerwca odbyło się kolejne spotkanie tym razem z okazji 45-lecia matury. Jak poprzednie spotkania rozpoczęło się Mszą św. dziękczynno-błagalną w limanowskiej bazylice, aby Bogu oddać najpierw to co Mu się należy. Odwiedziliśmy też cmentarze, aby złożyć kwiaty i zapalić znicze na grobach nauczycieli i rówieśników, którzy już od nas odeszli. Potem było wspólnotowe spotkanie przy stole w zamówionym lokalu.

Jubileusz 45-lecia zwany jest szafirowym. Szafir to szlachetny błękitny kamień, ze złotymi punkcikami. Jest symbolem prawdy i nieba z gwiazdami. Taki jest też ten jubileusz, przygotowujący do złotego. Streszcza go kilka słów: „*dziękujemy*”, „*pamiętamy*”, „*zapraszamy*”. Niech przywołanie licealnych lat ożywi w nas ducha młodości oraz tego, co wyraża piosenka. „Szanujcie wspomnienia. Panowie i Panie. Szanujcie!”

# Krakowska „Noc Muzeów”

## z udziałem Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1. PSP AK



„Noc Muzeów” w Muzeum AK im. gen. Augusta Fieldorfa w Krakowie.

Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych 1. PSP AK, do którego należą limanowscy pasjonaci historii, współpracuje z Muzeum AK im. Gen. Augusta Fieldorfa Nila w Krakowie. Niedawno powstałe, nowoczesne i interaktywne muzeum posiada bardzo bogate zbiory, dokumentujące historię Polskiego Państwa Podziemnego. Członkowie stowarzyszenia mają możliwość korzystania z materiałów źródłowych znajdujących się w muzeum. Uczestniczą także, na zaproszenie dyrekcji, w pokazach organizowanych dla zwiedzających. W maju br. wzięli udział w Festiwalu „Wstęp wolny” oraz w XI krakowskiej edycji „Nocy Muzeów”. O dużym zainteresowaniu świadczą liczba zwiedzających - w nocy z 16 na 17 maja w muzeum gościło 7 tys. osób. Szczególną satysfakcję stanowiła obecność młodzieży oraz mimo późnej pory, rodziców z dziećmi.

## Rzeczywistość jak sprzed lat...

Jednym z celów stowarzyszenia jest wierna rekonstrukcja realiów II wojny światowej, co służy przybliżeniu historii Polskiego Państwa Podziemnego. Zwiedzający muzeum w majową noc mieli możliwość przeniesienia się w czasie. Na dziedzińcu mogli zapoznać się z ekspozycją replik broni (np. MG-42, rzutowego brytyjskiego granatnika PIAT). Rekonstruktorzy, w replikach umundurowania z czasów okupacji, odpowiadali na pytania zainteresowanych historią II wojny światowej. Odbyła się również prelekcja na temat uzbrojenia, umundurowania i realiów życia oddziałów 1. PSPAK, działających w latach 1943-1945 na terenie Beskidu Wyspowego Sądeckiej i Gorców (podobna prezentacja miała miejsce w ramach Festiwalu „Wstęp Wolny” w dniu 3 maja br.).





Prezentacja działań 1. PSP AK z terenu Ziemi Limanowskiej w muzeum w Krakowie.



V Rajd Szlakami Żołnierzy 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK w masywie Mogielicy.

spotkał się Paweł Lisowski – syn kaprała Norberta Lisowskiego, pseudonim „Granit”, żołnierza IV Kompanii II Batalionu (limanowskiego) 1. PSPAK, który w chwili rozwiązania AK nie ukończył 18 lat. Zaproszony gość przekazał stowarzyszeniu pamiątki po ojcu: oryginalną bluzę munduru, furażerkę, buty narciarskie i pamiętnik. Wieczór zakończyło wspólne, partyzanckie ognisko.

**Fotografie: arch. Janusza Jurowicza**

Po północy organizatorzy z udziałem grupy przeprowadzili warsztaty, związane z walką żołnierzy niezłomnych w latach 1944 – 1956.

## ***Pociągiem retro i na rajdowym szlaku***

Jak w poprzednim roku, członkowie stowarzyszenia, wspólnie z grupami rekonstrukcyjnymi z Nowego Sącza i Gorlic, towarzyszyli w podróży pasażerom pociągu retro z Nowego Sącza do Chabówki w ostatnią niedzielę maja. W dniach 6-8 czerwca wspólnie z krakowskim Oddziałem IPN i wójtem gminy Słupnic Adamem Sołtysem zorganizowali V Rajd Szlakami Żołnierzy 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. Patronat objął starosta limanowski Jan Puchała. W rajdzie uczestniczyła młodzież z Małopolski m.in. z Krakowa i Olkusza. Limanowszczyznę reprezentowało gimnazjum w Słupnicach. Patrole złożone z uczestników przemierzały szlak partyzancki, biegnący w masywie Mogielicy, w rejonie Słupnic Górnych, Bukowego Wierchu, Dzielca i Cichonia. Na trasie znajdowały się stanowiska kontrolne, gdzie rekonstruktorzy sprawdzali wiedzę i umiejętności uczestników. Zadania wykonywane przez patrole były wzorowane na meldunkach z czasów II wojny światowej, wiązały się tematycznie z historią 1. PSP AK. W sobotni wieczór w Szkole Podstawowej nr 2 w Słupnicach, gdzie mieściła się baza rajdu, odbył się pokaz broni i umundurowania. Z uczestnikami rajdu

# Opisali uczestnicy, co widzieli w Kamienicy

Elżbieta Wojtas-Ciborska

Rzecz będzie o Feliksie Perekladowskim, cichociemnym kawalerze Orderu Virtuti Militari. Walczył on także na ziemi limanowskiej. Ponieważ mija 70 lat od tych wydarzeń, przypomnę ich echa w nadziei, że - być może - zainteresują one także Czytelników „Echa Limanowskiego”.

Kim był zatem ów oficer Wojska Polskiego? Choć bibliografia jego czynów jest obszerna, to nawet nie jest pewny rok jego urodzenia. Był jednak urodzony, wychowany i wykształcony już w niepodległej Rzeczypospolitej. Reprezentował kwiat polskiej młodzieży: wykształconej, odważnej do granic możliwości i skazanej na tułaczy los.

Pochodził z Żółkwi w dawnym województwie lwowskim, ale po śmierci ojca trafił z rodziną do Lwowa. Tam w 1938 roku zdał maturę w Korpusie Kadetów, a następnie służył w podchorążówce piechoty. Był dzielnym obrońcą Lwowa we wrześniu 1939 roku, a po zajęciu miasta przez Sowieców, pozostawał jeszcze w nim przez 2 tygodnie, po czym zamierzał uciec na Zachód. Aresztowany przez Rosjan 9 października 1939 roku wraz młodszym bratem Jankiem przy przekraczaniu granicy polsko-węgierskiej, był więziony w Stanisławowie i Chersoniu, a potem do września 1941 na zesłaniu w Kandałakszy na północy Rosji, gdzie stracił brata. Gdy trafił do Armii Andersa, przemierzał z nią Brygadzie Strzelców Karpackich bliskowschodni szlak i tam zgłosił się do służby w kraju. Przeniesiony w 1943 roku do Włoch, przeszedł szkolenie dla cichociemnych ze specjalnością w dywersji. Zaprzysiężony w stopniu podporucznika piechoty, przyjął pseudonim „Przyjaciół 2” oraz „Wiatr 2” i jako cichociemny w nocy z 30 na 31 maja 1944 roku skoczył na placówkę odbiorczą „Paszkot 1” w okolicy Rakszawy na północ od Łańcuta. Po aklimatyzacji i kursie informacyjnym w Warszawie, na początku lipca 1944 roku skierowany został w nasze strony, a ściślej do krakowskiego Okręgu AK i podlegającego mu Kedywu Inspektoratu Rejonowego AK w Nowym Sączu.



Z prawej dowódca 1. baonu 1. PSP AK por. Wojciech Lipczewski „Andrzej” i dowódca 1. kompanii ppor. Feliks Perekladowski, cichociemny „Przyjaciół 2” u Florka na Mogielicy.

Około 24 lipca 1944 roku dotarł do kwatrującego w pobliżu Mogielicy oddziału partyzanckiego „Wilk”, nieźle wyposażonego w broń z niedawnego pierwszego alianckiego zrzutu broni w okolicach Słopnic. Tak Feliks Perekladowski znalazł się w powiecie limanowskim. Mianowany zastępcą dowódcy, a od 16 sierpnia 1944 roku dowódcą tego oddziału, walczył na Podhalu z zasadzki i w otwartym boju. Brał udział w wielu partyzanckich akcjach, gdzie wykazał się brawurą i dał się poznać jako doskonały taktyk oraz przyjaciel podkomendnych. Już kilka dni później błysnął w poważniejszej akcji, dzięki czemu posterunek niemiecki w Kamienicy (ok. 50-osobowy), kwatrujący w umocnionym budynku szkolnym, został rozbrojony i nie wznowił już działalności.

Przyjrzyjmy się bliżej zwycięskiemu fortelowi, który jako błyskotliwy pomysłotakże na wojnie - ratuje niejedno życie. Relację świadków tego wydarzenia zaczerpnęłam z rozdziału *Fortelem trzeba...*, zamieszczonego w książce Cezarego Le-

żeńskiego pt. „Dajcie im imię” (Instytut Wyd. PAX, Warszawa 1985. s. 145-149).

Najpierw kamieniccy górale dokonali zwiadu. Szczególnie wnikliwie podpatrywali ruch na posterunku, usiłując pod różnymi pozorami wejść do środka, licząc broń, ludzi i ich rozmieszczenie.

*Nie jest dobrze* – meldował „Przyjaciółowi” zwiadowca Wasiak „Nemo” – *nas tylko czterdziestu, a ich pięćdziesięciu. A uzbrojenie?* – zapytał dowódca. – *Znakomite. W większości broń maszynowa. Do tego potężny bunkier żelbetowy, przylegający do szkoły.*

Perekladowski pokręcił nosem, bo liczba atakujących powinna być trzy razy większa niż broniących. Zwiadowca pocieszał: - *Co to dla nas. Mammy piaty* (ang. granatniki ze zrzutów). Dowódca potarł ręką czoło i zastanowił się. - *Weźmiemy ich fortelem. Zaczynamy jutro. Przekonamy ich, że jest nas dziesięć razy więcej* – zakończył dyskusję podporucznik.

Rankiem ze wszystkich stron rozpoczął się ostrzał posterunku z broni maszynowej, który akcentowały wybuchy granatów. W ogólnym rozgwarze ginęły pojedyncze puknięcia karabinów, co wywarło odpowiednie wrażenie. Tuż przed tym bojowym hałasem - za wskazaniem niezawodnego „Nemo” - partyzanci przecięli połączenie telefoniczne posterunku z Nowym Sączem.

Po zerwaniu łączności Perekladowski – jeszcze przed decydującym atakiem – obsadził kilkoma ludźmi drogę na Nowy Sącz i Łącko i teraz tylko czekał. Po pierwszej nawale polecił zmniejszyć ogień, a ludziom przebiegać to w jedną, to w drugą stronę, pozorując przegrupowywanie. Odniosło to zamierzony przezeń skutek. Na podwórzu szkoły zaczęto się nerwowo krzątać. Rozległ się warkot silnika. „Przyjaciół” zatarł ręce z zadowolenia, bo brama w płocie rozwarła się gwałtownie i jak z procy wyskoczył na drogę samochód ciężarowy. Jednym ruchem ręki dowódca przyciszył partyzancki ogień, tak jakby nacierający zostali zaskoczeni ukazaniem się pojazdu.

Ośmielony tym kierowca śmielej sunął ku głównej drodze. Ale wskutek tego za chwilę znalazł się na muszce partyzantów zaczajonych przy szosie. Na samochód posypały się granaty i serie pocisków, które rozbiły szybę szoferki i poszarpały opony. Pojazd zatoczył się i bezwładnie wpadł do rowu, po czym zaległa cisza oznajmująca koniec pierwszego aktu dramatu. Partyzanci, którzy zajrzeli do środka stwierdzili, że dwóch żołnierzy poległo a 5 zostało rannych. Dwóch nie drażniętych, ale przestraszonych Niemców, doprowadzono do Perekładowskiego. Opatrzyli ich partyzanci lekarze, a w późniejszym niemieckim meldunku pojawił się zapis: „W ręce bandytów wpadło: 3 lekkie karabiny maszynowe, 4 pistolety maszynowe, 8 pistoletów, 28 karabinów, 4000 szt. amunicji piechoty i do pistoletów maszynowych, 60 granatów ręcznych, samochód ciężarowy”.

Tymczasem nastąpił najważniejszy, wedle najstarszej reżyserii, drugi akt dramatu.

Przed jedną z chałup, niby do dowództwa, gdzie miano przesłuchiwać Niemców, ustawiono wartę. W środku nie było nikogo, ale co chwilę do domu wchodził i wychodził z niego łącznicy, tłumacząc coś wartownikowi. Ktoś niby z daleka, przyjeżdżał na koniu, a inny na rowerze. Jeńcy przyglądali się temu z szeroko otwartymi oczyma. Wyglądało na to, że w chałupie kwateruje dowództwo większej partyzanckiej jednostki.

Za węglem najbliższego budynku Perekładowski zainscenizował lepsze przedstawienie. Kilkunastu ludzi ustawił w oddział z piatami i bronią maszynową. Przemaszerowywali oni przed jeńcami po to, aby opłótkami wrócić do poprzedniego miejsca i oddać broń kolegom. Zaraz też przechodził równie świetnie uzbrojony następny oddział. Niemcy nie rozpoznali, że to ta sama broń. Za trzecim i czwartym razem powstańcy ponowili ten chwyt, zmieniając się czapkami, mundurami i nakładając płaszcze.

Z boku, zaskoczyło to nawet świadomych rzeczy partyzantów, a cóż dopiero Niemców, którzy po raz pierwszy zobaczyli piaty. Ponadto byli świadomi, że wszystkie te zbrojne oddziały pójdą w kierunku szkoły. Od tej strony dobiegł jeszcze wybuch pocisku z piata. Jeden, potem drugi. Nie mógł zniszczyć bunkra, ale sprawił wrażenie artylerii.

Fot. Leopold Kucharczyk



Tablica upamiętniająca cichociemnych wewnątrz kościoła pw. św. Kazimierza w Nowym Sączu.



Tablica na nagrobku Feliksi Perekładowskiej Matki oraz symboliczny grób jej dwóch Synów: Jana i Feliksa, na cmentarzu w Nowym Sączu.

Teraz na widownię zaimprovizowanego dramatu wkroczył sam Perekładowski. Jakby nigdy nic odebrał meldunek o wziętych do niewoli, a teraz prężących się na baczność jeńcach. Mówił do nich z pewną znudzoną nonszalancją, jakby bagatelizował akcję: - *Właściwie powinniśmy spalić cały wasz posterunek, a załogę zlikwidować. My jednak prowadzimy wojnę inaczej.* Niemcy prężyli się jeszcze bardziej i z ochotą przytakiwali. - *Jawohl.*

- *Przekażcie* – kontynuował Perekładowski – *dowództwu nasze żądania: natychmiastowe zaprzestanie oporu, opuszczenie posterunku, złożenie broni i amunicji. Wszystkim gwarantujemy życie i wolność. W przeciwnym razie nikt żywy nie wyjdzie.*

Niemcy potwierdzili, że zrozumieli. Ogień wokół szkoły zamilkł, a uwolnieni jeńcy wrócili do swoich. Ważyły się losy fortelu.



Pomnik żołnierzom I. PSP AK w Szczawie. Fot. Janusz Jurowicz

Upływały minuty i wydłużały się w pół, a następnie godzinę. Podporucznik już siarczyście zaklął pod nosem. Zapadł bowiem zmrok, a nikt ze szkoły się nie ruszył. Wreszcie drzwi się otwały, a z posterunku kolejno z podniesionymi rękami zaczęli umykać Niemcy. Nie wiedzieli jeszcze, że jest ich więcej niż oblegających. Odeszli bez broni, ale z osobistymi rzeczami w kierunku Nowego Sącza. Tak zwykle butni - teraz dreptali z dozą pokory.

Nie wszystkie zdarzenia były tak spektakularne. Po akcji na budynek stacyjny w Kasinie w nocy z 16 na 17 sierpnia, Niemcy w odwecie spalili prawie całą wieś Porąbkę, część Skrzydłnej i Pogorzian oraz zamordowali lub spalili żywcem ok. 100 osób.

Po odtworzeniu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, od 22 września 1944 roku waleczny podporucznik znalazł się w jego I batalionie jako dowódca kompanii. Już pod koniec 1944 roku brał udział w ochronie placówki zrzutowej „Wilga” w rejonie Mogielicy. Został odznaczony 1 stycznia 1945 roku Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari i awansowany do stopnia porucznika. Wchodził w skład zespołu redakcyjnego pisma „Żołnierz Podhalański”.

Wobec nieprzychylności nowych władz, w połowie października 1945 wyjechał z kraju i przyjęty do II Korpusu Polskiego w Ankonie, ewakuował się z nim do Wielkiej Brytanii. Po demobilizacji wyemigrował do Buenos Aires w Argentynie. Współpracował tam z pismami polonijnymi. Zmarł 10 grudnia 1973 roku w Buenos Aires w Argentynie i spoczywa na antypodach. Bojowe fortele pod jego dowództwem przeszły do historii.



Pomnik Jerzego Harasymowicza na Przełęczy Wyżnej. Fot. Marek Pankiewicz

# Śladami Jerzego Harasymowicza

Marek Pankiewicz

Nie będzie to biografia poety. Nie będzie też broń Boże jakąś amatorską próbą filologicznej, a tym bardziej filozoficznej analizy i interpretacji jego twórczości. Ten temat zostawiam fachowcom literaturoznawcom.

O dziwo, Harasymowicza odkryłem wiele lat temu. Szczerze przyznaję, niezbyt zainteresowany poezją (górnik z wykształcenia - AGH), przypadkowo trafiło mi do serca kilka jego wierszy, jakże innych od tych, którymi „zamęczano” mnie obowiązkowym programem szkolnym.

Dopiero zmuszony problemami zdrowotnymi „puciekawszy” nad Solinę, poznaniu miłośników *Bieszczadzkich Aniołów*, wysłuchaniu *Wolnej Grupy Bukowina* czy *Starego Dobrego Małżeństwa*, ze zdumieniem odkryłem limanowskie początki jego

fascynacji górkimi lasami Beskidów i Bieszczad, a także drewnianą architekturą sakralną stareńkich kościołów i cerkiewek tych regionów.

W tym roku (2014) mija 90. rocznica powołania w naszym kraju instytucji Lasów Państwowych. Świętują ten jubileusz leśnicy całej Polski, ale mile zaskoczył mnie fakt że „bardem” (piewca, poeta, wieszcz – przyp. red.) tych uroczystości w lasach Beskidu Sądeckiego, Niskiego i Bieszczad uhonorowano Jerzego Harasymowicza! A co najciekawsze, we wszystkich uroczystych obchodach i publikacjach związanych z leśnictwem tych terenów, od Nowego Sącza przez Muszynę, Krosno, Lesko, aż po Komańczę w Bieszczadach, Jerzy Harasymowicz wspomniany jest z wielką estymą jako piewca tego regionu.

Co mnie jeszcze urzekło?! Zawsze podkreślane są limanowskie korzenie wykształcenia przyszłego poety.

Najcieplej o tych czasach pisze Barbara Bałuc w nowosądeckim „Echu Beskidu” Nr 1/67 – kwiecień 2014 r. (...) *To ze szkoły wyniósł świetną znajomość drzew, krzewów, ziół. Warto ten fakt podkreślić, gdyż natura, a szczególnie drzewa, są często motywem, a nawet bohaterem jego utworów. Wielu w jego umiłowaniu fauny i flory dostrzega znamiona franciszkanizmu. Ja jednak dopatrywałabym się raczej solidnych podstaw wynikających z edukacji w limanowskim liceum !! (...).*

Praktyki szkolne uczniowie z Limanowej odbywali w Nadleśnictwie Muszyna, co też zapewne wpłynęło na późniejsze, bliskie związki poety z tą miejscowością. Szkoda jednak, że jego powiązanie z macierzystą szkołą jest zauważalne i doceniane daleko poza granicami Limanowej.

Nie miałem szczęścia spotkać się osobiście z bohaterem tej opowieści. Minęliśmy się gdzieś między klasztorem nazaretanek, gdzie internowano kardynała Stefana Wyszyńskiego, a cerkwią pw. Opieki Matki Bożej w Komańczy (lipiec 1999 r. - miesiąc przed śmiercią poety), tak iż nasza podróż przez życie wielokrotnie się krzyżowała na geograficznym szlaku.

Zapraszam więc Czytelników „Echa Limanowskiego” dla przybliżenia postaci poety na wspólną podróż w czasie i przestrzeni z Limanowej aż na Połoninę Wetlińską w Bieszczadach.

## **Dzieciństwo i czas okupacji**

Jerzy Harasymowicz urodził się w roku 1933 w Puławach. Z uwagi na charakter pracy ojca Stanisława, zawodowego wojskowego, służącego w latach trzydziestych XX stulecia w stopniu majora w 53. Pułku Piechoty Strzelców Kresowych, rodzina Harasymowicza do 1939 roku zamieszkiwała w Stryju, garnizonowym mieście powiatowym woj. stanisławowskiego. Tak więc szczęśliwe dzieciństwo, przyszyły beskidzki i bieszczadzki poeta spędził na Kresach II Rzeczypospolitej.

We wrześniu 1939 r. ojciec Jerzego dostał się na szczęście do niemieckiej, a nie sowieckiej niewoli i cały okres wojny przeżył w oficerskim „oflagu” Woldenberg.

Wśród wielu rodzinnych „Kriegsgefangenpost” przechowywają między innymi w swych szpargałach „Postkarte” oficera Eugeniusza Olecha, również jeńca tego obozu. Mogę przypuszczać, że w tej odizolowanej przez tak długi okres czasu obozowej społeczności, obaj oficerowie musieli się poznać. To tylko moje domysły, dzisiaj już nie do sprawdzenia.

A Jerzy Harasymowicz? W okresie okupacji sowieckiej, a następnie niemieckiej, początkowo wraz z matką i młodszą siostrą przebywał w Stryju, później kolejno we Lwowie i Gródku Jagiellońskim (miasta jakże bliskie sercu mego ojca), następnie pod Borszczowem na Podolu. Przez cały okres obu okupacji musieli nieustannie ukrywać się. Za Sowietów jako rodzina polskiego oficera, za Niemców jako Polacy przed bandami ukraińskich nacjonalistów (okrutne zbrodnie UPA na ludności polskiej w pobliskich Łanowcach w powiecie borszczowskim).

Mimo ciężkich okupacyjnych przeżyć swego dzieciństwa, Harasymowicz twardo podkreślał swoje kresowe korzenie. Nie ukrywał przy tym swego ciekawego etnicznego pochodzenia. *„Dziadek był Rusinem, ale jego syn a mój ojciec był zawodowym polskim przedwojennym oficerem. Ojciec brał udział*

*w obronie Lwowa (1919 r. i w wojnie polsko–bolszewickiej 1920–21 r. – przyp. M. P.) Był typowym kresowym patriotą. Babka zaś, która była Niemką, bardzo ciężko do Polski a nie do Rusi. Cerkiew i ikony drażniły ją. Może dlatego, w ramach jakiejś przekory, pisałem dużo o tych ikonach i cerkiewkach (...). Kresy to mój teren duchowy, moje polskie dziedzictwo.*

## **Lata szkolne**

Jerzy Harasymowicz naukę szkolną podjął w Dobrzechowie koło Strzyżowa na Podkarpaciu a kontynuował w Rzeszowie. Notatki biograficzne przyszłego poety, do których dotarłem, są tak pełne sprzeczności w podawanych szczegółach dotyczących miejscowości związanych z jego początkową edukacją, że uznałem je za nieistotne dla dalszej opowieści. Jedyнным oczywistym faktem jest informacja, że po ukończeniu szkoły podstawowej (Rzeszów?, Kraków?) dalszą naukę podjął w Gimnazjum Leśnym w Limanowej.

A cóż to była za szkoła?

Wspomnę o niej pokrótce, gdyż jej dzieje zatarły się już w zbiorowej pamięci mieszkańców naszego miasta, a zasługują na poświęcenie jej szerszej monografii. Co prawda, pisał o niej Jan Wielek w krótkim artykule („EL” nr 47 z 1997r.) na podstawie wspomnień jej wychowanków z lat 1945 – 1950, których gościł kilkakrotnie w ich byłej bursie (internacie szkolnym) mieszczącym się po wojnie w dworze Marsów.

Szkołę tę powołano decyzją Ministerstwa Leśnictwa w 1945r. w celu szybkiego uzupełnienia fachowej kadry leśników poległych w latach okupacji w czasie II wojny światowej. Powstały w niej dwa profile, dwuletni, o skróconym programie nauczania i trzyletni licealny.

Szkoła miała charakter skoszarowany. Umundurowani uczniowie wyróżniali się bardzo pozytywnie wśród szarego tłumu pozostałych mieszkańców miasta. Byli chlubą Limanowej, taką mini namiastką nawiązującą do przedwojennych tradycji miast garnizonowych, uświetniającą własną orkiestrą lokalne uroczystości. A co najważniejsze! Była pierwszą szkołą tego typu w powojennej Polsce. Ściągali do niej kandydaci z całego kraju w wieku od 16 do 28 lat, najczęściej z bogatą przeszłością okupacyjną. Byli wśród nich między innymi partyzanci AK i BCH, więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych i sowieckich łagrów. Niektórzy z nich nawet na szkolne zajęcia nosili za pazuchą czy też w kieszeni pistolety. Zaiste, ciekawe i doborowe towarzystwo. Leśnicy cieszyli się wielkim powodzeniem wśród żeńskiej części młodzieży limanowskich szkół średnich, a przede wszystkim dziewcząt internatu Liceum Pedagogicznego. Stąd też powstawały pewne konflikty z aktywistami tej szkoły z formacji Służba Polsce (SP – organizacja paramilitarna, politycznie kontrolowana przez PPR, zdelegalizowana w grudniu 1955 r.), którzy bronili dostępu „do swoich dziewcząt”, przed „tymi z lasu”. Dzisiaj to może śmieszyć. Lecz najbardziej, a w konsekwencji decydującym czynnikiem o dalszych losach Gimnazjum i Liceum Leśnego w Limanowej było uznanie szkoły jako ośrodek „reakcji” antykomunistycznej. Wykorzystano w tym celu prowokację ze strony funkcjonariuszy Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (osławionego UB).

W takim więc towarzystwie, któremu nie można zarzucić braku patriotyzmu, i w mtakiej atmosferze dorastał Jerzy Harasymowicz. Nie znam szczegółów ani też źródeł związanych z podjętą



Pobyt Jerzego Harasymowicza w Limanowej związany jest z Państwowym Gimnazjum Leśnym. Od lewej: Internat w dworze Marsów, Kolumna leśników na ulicach Limanowej, Leśnicy przed internatem w pałacyku Jonasa Hammerschlagą.

► decyzją o likwidacji tej słynnej szkoły, jedno jest faktem, iż w środku trwania nauki szkolnej w roku szkolnym 1950/51 przestała ona istnieć w Limanowej.

Większość uczniów przeniesiono do Ojcowa. W późniejszych latach szkoła była kolejno w: Krasiczynie, Głogowie Małopolskim, aż trafiła na koniec do Leska. Tam też, choć skromnie, podtrzymuje limanowskie tradycje swego rodowodu, tam znajduje się część dokumentacji limanowskiego gimnazjum, o czym dowiedziała się Redakcja „EL” i dzięki uprzejmości pani dyrektor Technikum Leśnego uzyskała archiwalną informację, z której notatkę cytuję: „*W dzienniku lekcyjnym klasy I Państwowego Liceum Leśnego w Limanowej, z roku szkolnego 1950/51, w spisie uczniów Jerzy Harasymowicz zapisany jest pod nr. 7. W dzienniku tym ostatni zapis odbytych lekcji w Limanowej jest z dnia 28 października. Następuje likwidacja szkoły z przeniesieniem do Ojcowa. W tym samym dzienniku, kolejny zapis ponownych lekcji pochodzi z 18 listopada 1950 r., już w Ojcowie. Przy nazwisku Jerzego Harasymowicza znajduje się adnotacja – został sklasyfikowany w I okresie i opuścił szkołę Liceum Leśnego w Ojcowie*”. Podejrzewam, że rozczarowany brakiem klimatu czy też atmosfery beskidzkich lasów, podjął decyzję o rezygnacji z dalszej nauki. Pomimo tego wracał wspomnieniami do tych terenów nieprzerwanie przez następnych kilkadziesiąt lat. Nigdy też nie podjął etatowej pracy leśnika. Utrzymywał się z wierszy, do których początków powstania natchnęły go zapewne leśne, szkolne praktyki. Jak zauważa Andrzej Marszałek, który napisał: „*Był zbyt niezależny, by poddać się dyscyplinie służby i nadto wrażliwy, by pogodzić się z rzeczywistością ówczesnego leśnictwa. Nigdy jednak leśnego rodowodu się nie wyrzekł, nie przestał czerpać natchnienia z przyrody. „Wiersze, poematy... wywożę z lasu jak drzewo” – napisał po latach.*

## Śladami poety z Limanowej do Muszyny

Śladami Harasymowicza zacząłem podążać jeszcze nieświadom tego faktu, już w latach mego dzieciństwa w Limanowej. Nie potrafię teraz dociec z czyjej to inicjatywy było skierowanie dwójki

uczniów z Sowlin, podobnie plastycznie uzdolnionych, to znaczny mnie, ucznia szóstej klasy Szkoły Ćwiczeń i starszej koleżanki z Liceum Pedagogicznego na lekcje rysunku do artysty malarza, Tadeusza Ociepki. Kierował on wówczas Zasadniczą Szkołą Zawodową mieszczącą się w budynku pożydowskiej garbarni na tzw. „Kamieńcu”. Tym sposobem, raz w tygodniu, przekraczałem progi budynku, w którym po rozpędzeniu leśników (likwidacji Liceum Leśnego – przyp. red.) zainstalowano tam słynną „Metalówkę”. Po kilku miesiącach okazało się, że moja koleżanka od „pędzla” musiała z lekcji rysunków zrezygnować. Samotnie doczekałem końca roku szkolnego, ale w wakacje doszły mnie słuchy, iż po ukończeniu podstawówki grozi mi „zesłanie” do jakiegoś mitycznego Liceum Plastycznego, gdzieś w odległym Wiśniczu. Nie wyobrażałem sobie rozstania z Limanową i zbuntowany przerwałem dalsze lekcje rysunku. Wizja Wiśnicza była moją zmurą. Podobnie jak dla Harasymowicza Ojców, któremu tamtejsza szkoła jak wynika z dokumentów wybitnie „nie leżała”.

Z poezją Harasymowicza zetknąłem się bliżej, jak to już wspominałem na wstępie, dopiero w Bieszczadach. Nad Soliną, gdzie w końcu trafiłem jako podkuławiony rencista ze swoim legendarnym jachtem „Behemotem”, miałem szczęście poznać wielu wspaniałych ludzi o przeróżnych, zadziwiających biografiiach jak też zainteresowaniach. Łączyło ich tylko jedno: wstręt do miejskiej pseudocwilizacji i umiłowanie wolności, którą odnaleźli w Bieszczadach: od żeglarzy i koniarzy, poprzez rzeźbiarzy i malarzy, poetów i pisarzy, muzyków i piosenkarzy, przewodników i ratowników górskich, leśników i drwali, „smolarzy” z wypału węgla drzewnego, sklepikarzy i karczmarzy, wiejskich księży i popów, na sympatycznych, legendarnych „zakapiorach” i innych „pouciekańcach” kończąc. To byli przez dwie dziesiątki lat moi najbliżsi przyjaciele. Niestety, wielu z nich spoczywa już na „Niebieskich Połoninach”. Ciekawskich odsyłam do albumu „Bieszczadzkie Twarze” (2008), w którym to, ku memu zdziwieniu, umieszczono również moją podobiznę (widocznie uznano, że na to wyróżnienie zasłużyłem), choć opatrzone ją w podpisie z lekka złośliwym komentarzem dotyczącym powodów mego „pouciekania” w Bieszczady.

Wśród tego mrowia przyjaciół, poznałem niewidomą gitarzystkę Elżbietę. To właśnie ona otworzyła mi oczy na Harasymowicza,



śpiewając przy gitarze teksty jego wierszy podczas wspólnych biesiad przy ognisku. Jej ostatnim, jak mi wspomniała, zapamiętanym jeszcze w szkolnych czasach, widokiem górskich lasów były okolice Limanowej. Bieszczady, gdzie trafiła jako sanatoryjna masażystka nie dane było już nigdy zobaczyć. Lecz urzekającą atmosferę tej krainy głęboko odczuwała. Potrafiła, nam widzącym przekazać, aby spojrzeć głębiej i szerzej na jej uroki właśnie dzięki poezji Harasymowicza.

W dalszą wędrówkę śladami poety zapraszam wbrew chronologii wydań jego kolejnych utworów (około 50 tomików), lecz podróżując szlakiem bliskich również i mnie miejscowości, którym autor wierszy poświęcił swą uwagę, podążając z Limanowej w Bieszczady. Motyw Limanowszczyzny znajdujemy w „Madonach Polskich” jak „Madonna z Przyszowej”.

**„Czy wie Przyszowa/ że się w niej/ Słowian Gioconda/ chowa” (...), czy też w „Madonnie Szczyrzyc” „Urodzinowa Madonna się pochyla/ i z jej głową pochyla się cherub/ Jeździec Madonnę porywa/ uwozi w daleki poemat” (...).**

Za Nowym Sączem trafiamy nad Dolinę Popradu. Tutaj proponuję przystanek w Wierchomli, która również zainspirowała kiedyś poetę. Ja miałem tutaj inne zadania. Jako sztygar strzałowy KKD Klęczany dewastowałem przyrodę i nie tylko, również w podległym wówczas kamieniołomie Wierchomla. Podczas jednej z wizyt z wielką troską kontrolowałem wpływ naszej górniczej działalności na pobliskie obiekty budowlane. Po latach odkryłem zaskakującą wzmiankę o tej wizycie w książce Antoniego Kroha „O Szwejku i o nas”, tropiciela śladów I wojny światowej w Galicji. Okazało się, że wizytowaliśmy w tym samym czasie zabytkową willę Stanisława Stohandla, zaprojektowaną przez Dušana Jurkoviča, architekta słowackiego pochodzenia. Za austriackich czasów był członkiem C i K Kriegsgräber-Abteilung, takiego wydziału grobownictwa przy garnizonie krakowskim.

Zrealizował w Beskidzie Niskim, tak bliskim Harasymowiczowi, 31 cmentarzy wojennych. Niestety, w swej książce, A. Kroh przedstawił nasze spotkanie raczej negatywnie: „*Gdyśmy tak rozmawiali o Juroviču (...) akurat przyszedli dwaj panowie z kamieniołomu. Obejrzeliby szkody, obiecali, że je naprawią, a przy okazji podzielili się wiadomością, że kamieniołom zwiększa produkcję, bo musimy iść z postępem, a nie cofać się do Piasta Kołodzieja i jego Rzepichy*”. Mimo że była to połowa lat 80-tych, doskonale pamiętam, że nigdy takich głupot o Piaście Kołodzieju z jego Rzepichą nie bredziłem. W rewanżu wspomnę, że w owych czasach, konkurując w telewizyjnym programie z drugim „szwejkologiem”, Leszkiem Mazanem, obaj nie potrafili przypomnieć sobie numeru lokomotywy pociągu, którym to zagubiony pucybut Szwejk miał dopędzić swój regiment por. Łukasza.

Udajemy się dalej, w górę Popradu. Wreszcie Muszyna! Miasteczko to miało znaczący wpływ na dalsze życie niedosłatego leśniczego Harasymowicza. Wszyscy uczniowie limanowskiego Gimnazjum Leśnego swe szkolne praktyki odbywali w tym nadleśnictwie. Zauroczony tą miejscowością i całą Doliną Popradu, poświęcił w późniejszych latach właśnie tym okolicom bardzo wiele swoich utworów.

Do mnie trafił, choć po wielu latach, po życiowych perypetiach „Powrót do krainy łagodności”.

W połowie lat 50. współtworzył grupę literacką „Muszyna”, do której należało wielu znanych twórców, których nie będę jednak wymieniał, gdyż jak wspomniałem na wstępie, nie interesowałem mnie ten rodzaj literatury. Pragnąłbym jednak, mimo że jestem laikiem w tym temacie, wtrącić kilka słów na temat porównania poezji Harasymowicza z muzyńskiego okresu do obrazów Nikifora (broń Boże nie obrażając w niczym i doceniając pasję i osiągnięcia tego krynickiego twórcy), ośmielię się ja, górnik z kamieniołomów, polemizować z tezą uznanego autorytetu w tym temacie, zasłużonego literaturoznawcy, prof. Kazimierza Wyki. Skojarzenie poezji Harasymowicza ze sztuką malarską krynickiego artysty jest błędne, tym bardziej, gdy patrząc na ściannę ozdobioną w moim domu akwarelami Jerzego Udzieli, kreślę słowa protestu. Bliski Limanowej Jerzy Udziela był podobnie jak Harasymowicz zauroczony Muszyną, gdzie zamieszkał po rodzinnej tragedii i tworzył swoje beskidzkie i nie tylko – akwarele.

To z okazji ostatniego za życia tego artysty wernisażu (1998 r.), ks. prof. Józef Tischner napisał: „*Czy malarstwo, które mamy przed sobą, wymaga słownego komentarza? Ideałem malarstwa jest przecież to, by obraz przemawiał sam za siebie, bez pomocy słów. Czy temu malarstwu potrzebne są słowa?*”. Zaiste! Tu każde słowo byłoby zbędnym dysonansem.

Obaj twórcy. Udziela i Harasymowicz, mieli przed oczyma ten sam, doprawdy identyczny obraz. Tyle że pierwszy do jego utrwalenia używał pędzla, a drugi malował te same widoki piórem. I tylko forma przekazania obrazu swych uczuć ich dzieliła. (Więcej o Jerzym Udzieli, w „EL”, nr 210-211 i 218-219, rok 2012).

## W krainie Bieszczad

Czas udać się na dalszą wędrówkę śladami poety, tym razem już ostatni jej odcinek – w Bieszczady. Fascynacji tą krainą, jak wielu, wielu innych poprzedników, których trudno z braku miejsca wymienić, pozostał wierny do końca. Bieszczadom poświęcił znaczącą ilość utworów, których opisywanie nie było

wszakże moim zamiarem. Nie mogę jednak pominąć jednego wiersza, który potraktowano później jako jego poetycki testament.

*„Kiedy jak buki na mróz serce mi pęknie  
połóżcie mnie na wóz z widokiem na Bieszczady  
na wielki pożar gór na wielką jesień  
którą sam roznieciłem pisaniem  
Niech ten wóz sam jedzie w zawieję liści  
Niech tam na wieki zostanie”*

W lipcu 1999 r., już ciężko chory, odwiedził po raz ostatni Bieszczady w Komańczy, gdzie spotkał się z wiernymi Czytelnikami. Kilka tygodni później zmarł w Krakowie (21 sierpnia 1999 r.). Prośbę zawartą w poetyckim testamencie poety spełniono, rozsypując z helikoptera jego prochy nad bieszczadzkiemi poloninami. Tej samej jesieni, na Przełęczy Wyżnej, zwanej po łemkowsku Przełęczą nad Berehami, pod szczytem Połoniny Wetlińskiej, ustawiono pomnik, traktowany jako jego symboliczny nagrobek. Duży udział w jego budowie mieli miejscowi leśnicy.

Wydawałoby się, że na tym powinienem zakończyć tę wędrówkę. Lecz ciągną mnie jeszcze niezadeptane do końca ślady. Harasymowicz żyje nadal w pamięci ludzi, których uwiódł swoją bajkową poezją.

Corocznie wyjeżdżałem na dobrowolną wiosenno – letnio – jesienną banicję, nad urokliwą Solinę, do oczekującego mnie wernego „Behemota”, zawsze tą samą, dłuższą trasą „dołem mapy”, przez harasymowiczowski Beskid Niski, którego widok rozweselał oczy. Do Limanowej wracałem dopiero w okresie Wszystkich Świętych na „zimowisko”, jak niedźwiedź do swojej gawry. Dzięki przyjaciółom poznałem całe Bieszczady, niestety jedynie drogami, gdzie mógł dotrzeć samochód terenowy, i co oczywiste, jedynie poza granicami parku narodowego. Któregoś dnia zapragnąłem jednak spojrzeć na nie z góry, oczyma Harasymowicza. Mobilizowany przez kolegów, podpierając się łemkowską „palicą”, z wieloma przystankami, kulejący lecz szczęśliwy, dotarłem wreszcie na szczyt Połoniny Wetlińskiej (zaledwie 300 m w górę z Przełęczy nad Berehami, gdzie stoi pomnik Harasymowicza). Wypocząłem w Chatce Puchatka, w której przywitałem się z legendarnym bieszczadzkim goprowcem a zarazem gospodarzem tego schroniska, Lutkiem Pińczukiem.

Byłem bardzo dumny ze swego inwalidzkiego wyczynu i przypominały mi się słowa słynnej himalaistki Wandy Rutkiewicz: „Każdy człowiek ma swój Mount Everest do zdobycia”. Po którymś ze swoich żeglarskich rejsów dodałem do tych mądrych słów swoją nieskromną sentencję: *i swój ocean do przepłynięcia*.

Przebywając przez wiele lat w Bieszczadach, spotkałem się z opinią, że Harasymowicz inspiruje swą twórczością innych, młodszych autorów. Kilka lat temu przytrafiła mi się zabawna przygoda, potwierdzająca te spostrzeżenia. Pewnego, dość późnego poranka, poderwały mnie z kojki jachtu okrzyki, że poszukuje mnie telewizja. Faktycznie, po chwili nadjechał wóz transmisyjny i poproszono mnie o odczytanie przed kamerą jednego wiersza z doręczonego mi tomiku. Realizator obrazu spytał mnie grzecznie, czy dysponuję jakąś ciemniejszą koszulą. Zrozumiałem jego dyskretną aluzję. Ta, w której wyłaźłem ze śpiwora była po prostu zaplamiona, co bezlitośnie rejestrowała telewizyjna kamera. Przebrałem się czym prędzej w jedyną, jeszcze czystą, czarną koszulkę t-shirt, z dum-

nym, bieszczadzkim nadrukiem na piersi „Baza Ludzi z Mgły”. I stało się! Program z „deklamacjami zakapiorów” tomiku wierszy „Madonny Bieszczadzkiej”, autorstwa Andrzeja Potockiego, TVP Rzeszów emitowała wielokrotnie, o czym meldowali mi znajomi, szczęśliwi posiadacze telewizorów.

W 2013 r., wzruszony pamięcią autora, otrzymałem od niego ten tomik wierszy z dedykacją na stronie „Żernicka Madonna”, wraz z telewizyjną kopią DVD, zawierającą m. in. moją „zakapiorską recytację” rozpoczynającą się słowami: „*Nie ustrzegłaś Mario/ świętych ikon przed zagładą/ ludzi przed śmiercią/ domów przed ogniem/ przed zdżyczeniem sadów/ - ludzi przed ludźmi” (...)*

Wiosną 2014 r., przypadkowo trafiłem w bieszczadzkim kiosku z pamiątkami na tomik Harasymowicza „Wszystkie wiersze są w bukach”. Z wielką satysfakcją zauważyłem, że oba te tomiki łączą jeszcze zdobiące je dzieła mego przyjaciela z Hoczwi, lwowiaka z urodzenia, artysty plastyka Zdzisława Pękalskiego. Jego obrazy, wizerunki Chrystusa i Matki Bożej z Dzieciątkiem, stworzone na upalonych resztkach desek i gontów spalonej w 2006 r. dwustuletniej cerkwi „Opieki Matki Bożej” w Komańczy, lecz poświęcone już w obrządku katolickim, sąsiadują z akwarelami wspomnianego wcześniej Jerzego Udzieli, na drugiej ścianie mego limanowskiego mieszkania. Po powrocie z ostatniej wyprawy w Bieszczady, z ostatnim zbiorem leśnych wierszy Harasymowicza w kieszeni, skontaktowałem się z niewidomą gitarzystką Elą, z prośbą o nadesłanie (choćby alfabetem Braille’a) kilku słów na temat jej lubianego poety. Po kilku dniach otrzymałem wzruszającą kartkę z podyktowanymi słowami: *To Elżbiecie Adamiak zawdzięczam odkrycie i zachwyt piórem Jerzego Harasymowicza. Markowi Pankiewiczowi zaś to, iż uświadomił mi, że wiele lat podążałam śladami tego wspaniałego poety. Przez Kraków, Limanową, Muszynę, Beskid Wyspowy, Sądecki i Niski zawędrowałam w Bieszczady. Wędrując wzdłuż i wszerz owej Krainy Wiecznej Szczęśliwości i Urody, wplatałam wiersze Harasymowicza w struny mojej gitary. W czasie tej wędrówki wypatrzyły mi się moje oczy, a skronie przyproszyły mi prochy piewcy miłości do gór. Może kiedyś tam wrócę i usiądę na ławce z księżycem, a wtedy w jego blasku zobaczycie moje włosy, które mają barwę popiołu”* – Elżbieta Surma, 17 maja 2014 r.

A co mnie zapędziło w Bieszczady? Nie mogłem długo zrozumieć narastającego, jakiegoś cygańskiego niepokoju, dążenia do ucieczki, gdzieś daleko od problemów codziennego życia. Najdosadniej i krótko wyjaśniły mi to przeczytane ostatnio słowa Harasymowicza, że w krainie tej „pełno jest lasu, buków, kobiet dawnych i obecnych i oczywiście wolności”. Tę upragnioną wolność dał mi Zalew Soliński, po którym mogłem bez trudu żeglować, a oczy cieszył widok bliższych i dalszych gór, po których niestety nie mogłem już wędrować, a o których to, właśnie wierszem „W górach”, Jerzego Harasymowicza zacząłem niniejszą opowieść.

**Fotografie: Marek Pankiewicz,  
arch. Danuty Suwały (Korczyńskiej)**

*W następnym wydaniu „Echa” zostanie przedstawiony artykuł o Gimnazjum i Liceum Leśnym w Limanowej.*



Koleje życia Stanisława Alojzego Nowaka starosty limanowskiego, pełniącego tę funkcję w Limanowej od grudnia 1937 r. do wybuchu II wojny światowej zostały opisane w „Echu Limanowskim” w dwóch artykułach. Biografię zaprezentowano w numerze 222-223 z marca-kwietnia 2013 r. tego pisma. Wcześniej zaś przedstawiono reportaż „Dzwon Pamięci – uderzył po raz pierwszy”, w którym ujęto relację z otwarcia Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni pod Kijowem,

Wiedzę o Nim pogłębia artykuł p. Stanisława Marii Jankowskiego. Przede wszystkim wyjaśnia, jakie były koleje Jego życia po 17 września 1939 r., kiedy został aresztowany w Tarnopolu przez władze sowieckie i ślad po nim zaginął.

W oparciu o dokumenty: Centralnego Archiwum Wojskowego im. mjr. Bolesława Waligóry, w kontekście wydarzeń związanych z represjonowaniem Polaków na Kresach wschodnich, przedstawia pełniejszy obraz losu Stanisława Alojzego Nowaka.

# Z Limanowej przez Kijów do Bykowni...

Stanisław Maria Jankowski

Przede mną na biurku „Curriculum vitae” starannym, kaligraficznym pismem przygotowane 28 lutego 1923 r. przez dr. Stanisława Alojzego Nowaka – ostatniego starostę limanowskiego w II Rzeczypospolitej<sup>1</sup>.

Kontynuując pomysł przedstawienia Jego biografii, wchodzę w sierpień 1914 r., gdy 20-letni Stanisław – zainteresowany studiami prawniczymi na Uniwersytecie Lwowskim im. Jana Kazimierza – wybrał się do Tarnopola, aby odpocząć – tutaj cytuję – „na wywczasach<sup>2</sup> wakacyjnych”.

„Po wkroczeniu do Tarnopola wojsk pruskich w roku 1917 zostałem powołany do wojska austriackiego, w którym służyłem do 1 XI 1918 przy 22. pułku strzelców (Landwehr) w Czerniowcach...”.

Dokument potwierdza służbę w c. k. armii od 2 grudnia 1917; najpierw w Nistku na Morawach, później dodaje trzymiesięczne szkolenie szeregowego Nowaka w szkole oficerskiej w Jagersdorfie i w Kamionce Strumiłowej. Od połowy sierpnia do 12 listopada 1918 jest starszym szeregowcem w Czerniowcach. Jego kompania marszowa 22. pułku strzelców wyrusza na front włoski 13 października. „Trzynastka” to nie liczba feralna, bowiem na froncie pojawiają się dwudziestego szóstego. Zamiast spodziewanego rozkazu kontruderzenia na wyczerpanych natarciem i skrwawionych Włochów przychodzi z Naczelnego Dowództwa decyzja odwrotu na granicę.

„A więc – przypomina w „curriculum vitae” – kilka dni wcześniej przed upadkiem Austrii<sup>3</sup>. Z Włoch razem ze swoim pułkiem dostałem się do Czerniowiec, a stamtąd do Tarnopola, gdzie w tym czasie była tzw. Zachodnia Ukraińska Republika<sup>4</sup>”.

## Armata zamiast indeksu

„W kilka dni po przybyciu do Tarnopola zostałem przez Ukraińców aresztowany jako Polak i odstawiony do obozu w Mikulińcach, gdzie przebyłem kilka nader ciężkich tygodni. Wojsko polskie wkroczyło do Tarnopola 1 VI 1919 i wtedy wstąpiłem do W. P.”.



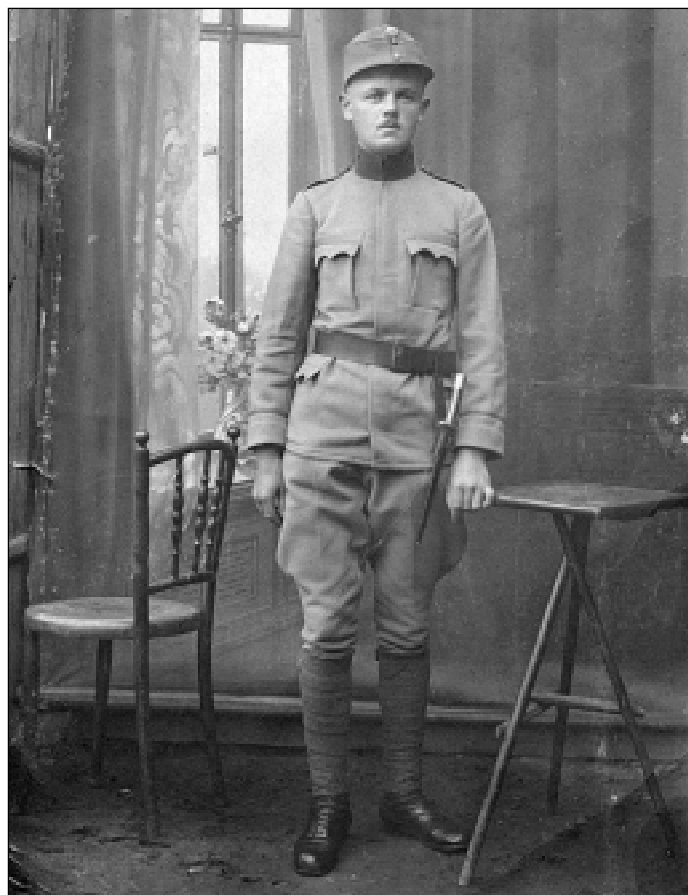
Ppor. Stanisław Alojzy Nowak.

15 czerwca wcielony z poboru ochotniczego do 5. Pułku Artylerii Ciężkiej (5 p. a. c.) – informuje „Karta ewidencyjna”, z dodatkiem informacji o uznaniu tylko stopnia szeregowego, „z powodu braku dokumentów”. „Curriculum vitae” poszerza „Kartę...” o przydzielenie do Komendy dworca w Tarnopolu, ucieczkę przed wkraczającymi do miasta wojskami ukraińskimi i ochotniczym zgłoszeniu się do Wojska Polskiego.

„Po 26 VI 1919 z 3. baterią 5. p. c. a.,<sup>5</sup> w której dowódcą był kapitan Gruber dotarłem na front ukraiński i tam pozostawałem aż do zwolnienia. Po wyparciu Ukraińców z Małopolski zwolniono mnie jako starszy rocznik, miałem ▶



Fragment Curriculum Vitae napisane przez Stanisława Alojzego Nowaka.  
Obok: Stanisław Alojzy Nowak w mundurze austriackim.



- **bowiem dalej kontynuować studia. Po zwolnieniu zapisałem się na uniwersytet we Lwowie, a gdy bolszewicy najechali Polskę w roku 1920, na odezwę Naczelnika Państwa wstąpiłem powtórnie jako ochotnik do W. P. i zgłosiłem się w batalionie Zapasowym 5. p. a. c. jako dawniejszym swoim pułku. Po dwu tygodniach zgłosiłem się do rezerwy, która odchodziła wtedy w pole i rozpocząłem służbę frontową jako łącznik między I dyonem 5. p. a. c. (dyon - jednostka organizacyjna i taktyczna odpowiadająca batalionowi piechoty – przyp. redakcji), a brygadą artylerii. Następnie zostałem przydzielony do komendy sztabowej i pracowałem jako siła kancelaryjna aż do zwolnienia, względnie bezterminowego urlopowania, które nastąpiło w grudniu 1920 roku. Dat dokładniejszych podać nie mogę”.**

## Przygotowany na stanowisko oficera łączności

Kiedy Stanisław Alojzy Nowak pisał „Curriculum vitae”, wojskowe dokumenty były niedostępne ze względu na ich utajnienie. Obecnie nie są. W „przebiegu służby w W. P.” można przeczytać o awansowaniu ze stopnia kanoniera na bombardiera, a później na kaprala.

Po przeniesieniu do rezerwy z grupą „C” oraz adnotacją „zdalny do pospolitego ruszenia z bronią w rękę” dwukrotnie uczestniczył w sześciotygodniowych ćwiczeniach w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii (SPRA) we Włodzimierzu Wołyńskim. Zalicza zajęcia z ogólną oceną „bardzo dobry”. W 1928 roku może pochwalić się stopniem podporucznika Wojska Polskiego.

„Karta ewidencyjna” uzupełnia naszą wiedzę, potwierdzając 26 kwietnia 1928 r. „przyjęcie do rezerwy w Korpusie Oficerów Artylerii na podstawie art. 118 Ustawy z dnia 1 VI 1923r. lok. 61 z jednoznacznym wcieleniem do 12. p. a. p.”.

W szczególnych opiniach przełożonych: „*Ideowy, pilny i ambitny, wyszkolony dobrze. Orientuje się biegle w terenie, na trudy wytrzymały, przygotowany na stanowisko oficera łączności dyonu*”. Opinie znaleźć można m. in. we wniosku awansowym do stopnia porucznika rezerwy. Obok informacja o odznaczeniu „Medalem Pamiątkowym za wojnę 1918–1921”.

## Wyroki podpisano w Moskwie

Teraz z naszego, historyczno – badawczego podwórka. Pamiętam, jak w maju 1994 r. na zebraniu Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej (NKHBZK) w mieszkaniu śp. dr Bożeny Łojek pojawił się spóźniony – niestety też obecnie śp. – Jędrzej Tucholski z informacją o sukcesie Stefana Śnieżki, wówczas zastępcy Prokuratora Generalnego RP. Piszę słowa „sukces” z pełną odpowiedzialnością, chociaż Stefan wiedział, jakich dokumentów może w Kijowie oczekiwać od kierownictwa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Jeszcze przed Jego wyjazdem zdecydowaliśmy podjąć starania o zgodę – z naszego „najwyższego szczebla” – na opublikowanie przywiezionych dokumentów w „Zeszytach Historycznych”, wydanych przez NKHBZK<sup>6</sup> i Polską Fundację Katyńską.

Odpowiedzialny za wydanie Polsce kopii przez wiele lat dokumentu o najwyższym stopniu tajności gen. Andrzej Chomicz dołożył oficjalny list z wyrazami poważania osobistego dla Stefana Śnieżki i „*jego szlachetnej misji i zapewnienie o najszczerszym zamiarze współpracy w poszukiwaniu materiałów, które pomogą wyjaśnić losy ofiar represji*” oraz wyraził nadzieję o „*wspólnym działaniu służącym umocnieniu dobrosąsiedzkich stosunków i zaufania między naszymi narodami*”.



Fragment dokumentu Cesarsko-Królewsko-Austriackiej Fundacji zaświadczający o pożyczce na rzecz wdów i sierot po żołnierzach Towarzystwa Kontrybucyjnego Królewsko-Cesarskiego Ubezpieczenia na życie „Phönix” w Wiedniu - 1918 r.

Dołączyliśmy list do „Wykazu akt osobowych aresztowanych i wysłanych do dyspozycji NKWD”. Zeszyt historyczny nr 4 z tytułem „Listy katyńskie ciąg dalszy. Straceni na Ukrainie” wykupiono błyskawicznie. Dwa następne wydania – podobnie. Kilka tysięcy rodzin dowiedziało się nareszcie o straceni najbliższych nie w Katyniu, Charkowie czy Miednoje pod Twerem, ale w innych – wówczas tylko wstępnie rozpoznanych – miejscowościach. Jednym z nich była Bykownia pod Kijowem; tutaj podczas kilku ekshumacji odnaleziono szczątki 1980 Polaków. Otwarty w Bykowni 21 września 2012 roku <sup>7</sup> cmentarz z tzw. Polskich Cmentarzy Wojennych upamiętnienia ponad 3400 Polaków; oficerów, cywilów i kilkadziesiąt kobiet (!) straconych przez funkcjonariuszy UNKWD w Kijowie.

## „Zawzięci wrogowie władzy radzieckiej”

We wspomnianym „Zeszycie”, często nazywanym „czwórka” albo „zielonym”, nazwisko Stanisława Alojzego Nowaka – z powodu układu alfabetycznego a nie dat dziennych transportów na miejsce egzekucji – znajduje się obok numeru 2089. Wywieziono go na podstawie przekazanej z Moskwy do Kijowa listy dyspozycyjnej 41/2. W zeszycie „zielonym” po raz pierwszy opublikowano też informacje o zamordowanym: „*Nowak Stanisław Alojzy, s. Ignacego i Heleny, ur. 27 kwietnia 1894 r. w Brodach, ppor. art. rez. dr działacz Związku Strzeleckiego (komp. czyn. Nr 1809, Tarnopol) starosta w Limanowej*”.

Numer listy dyspozycyjnej, zwanej w literaturze przedmiotu listą „transportową”, pozwala odpowiedzieć na pytanie, kto zdecydował o rozstrzelaniu Stanisława Alojzego Nowaka. Po 5 maja 1940 r. (raczej bliżej kwietnia) wykonano decyzję o wymordowaniu znajdujących się w więzieniach w zachodnich obwodach Ukrainy i Białorusi „11000 członków[ontr]-r[ewolucyjnych] organizacji, byłych obszarników, fabrykantów, byłych polskich oficerów, urzędników i uciekinierów - rozpatrywano w trybie specjalnym wobec nich najwyższego wymiaru kary – rozstrzelano”.

Do Kolegium Specjalnego NKWD ZSRR w składzie: Wsiewołod Mierkułow, Bachczo Kobułow i Leonid Basztakow dochodziły spisy z nazwiskami przygotowane w obozach i więzieniach. Teczki z protokołami przesłuchań, podjętych natych-

miast we wrześniu 1939 r., zintensyfikowanych w grudniu, a następnie styczniu i lutym 1940 r. zostawały w archiwum obozowym, przydatne dla śledczych w dalszej „obróbce” tych oficerów, z którymi – uznano – warto podjąć dalsze rozmowy. Udawanie szczerości, życzliwości w czasie „pracy ewidencyjnej” (bo tak nazywano przesłuchania) pozwoliły ustalić kto jest „zawziętym wrogiem władzy radzieckiej, pełen nienawiści do ustroju radzieckiego”.

W datowanej 8 października 1939 dyrektywie Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Związku SSR – Ławrientija Berii za kontrrewolucyjną organizację uznano „Związek Strzelecki”. Jeszcze przed inwazją 17 września przewidywano aresztowanie nie tylko funkcyjnych, ale wszystkich „strzelców”.

## Brudne ręce policji politycznej

Do zbiorów Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie – wśród innych – dojechały pewnego dnia „Ucznotnyje kartoczki” („karty ewidencyjne”) wypełniane na podstawie badań ankietowych i umieszczane w kartotekach alfabetycznych obozów. Wpisano numer akt ewidencyjnych, nazwisko, imię, rok i miejsce urodzenia, datę i miejsce wzięcia do niewoli, narodowość, obywatelstwo, przynależność do partii politycznych, miejsce zamieszkania przed powołaniem do wojska, numer ewidencji (matrykuła), nazwę jednostki, rodzaj wojsk, ostatnią rangę bądź stopień, zawód - specjalność, wykształcenie, informacje specjalne. Na odwrocie zapisywano: kiedy i skąd przybył do obozu, informacje o ucieczce i zatrzymaniu, ewentualnie o zastrzeleniu w trakcie ucieczki.

Na „kartoczkach”, o których mowa, zwraca uwagę, „wziętym w plen”, czyli wzięcie do niewoli na jednym dokumencie oraz „ariestowanie” – na drugim.

Podporucznika artylerii Nowaka Stanisława Ignatowicza z Tarnopolu 19 września 1939 wysłano do obozu juchnowskiego, tu więziono od 25 września i następnie przekazano do Kozielska. W obozie kozielskim przebywał od 22 grudnia 1939 r. do 7 stycznia 1940 r. Wywieziony na podstawie zarządzenia spraw wewnętrznych Ukraińskiej SSR.

Więcej wiedzielibyśmy, mając do dyspozycji „oprosnyj list” (kwestionariusz osobowy) wypełniony przez pracowników oddziału ewidencyjno – rejestracyjnego po przyjeździe ppor. Nowaka do obozu juchnowskiego czy później, do Kozielska. Żądanie ujawnienia danych osobowych nie wykraczało poza międzynarodowe przepisy, obowiązujące jeńców wojennych. Domaganie się jakichkolwiek informacji o charakterze wojskowym (nawet z wojny w roku 1920) było pogwałceniem międzynarodowych konwencji <sup>8</sup>. Wspominanie konwencji nie ma jednak znaczenia, skoro nie armia a policja polityczna (NKWD) już we wrześniu 1939 r. przejęła władzę nad jeńcami. I odtąd wykorzystywała funkcjonariuszy do rozpracowania Polaków wziętych do niewoli lub aresztowanych w czasie inwazji czy jej zakończeniu.

Kierujący Zarządem ds. Jeńców Wojennych NKWD kpt. bezp. państw. Piotr Soprunienko i naczelnik Wydziału Rejestrów i Ewidencji tego Zarządu, st. lejtnant bezp. państw. – Iwan Maklarski wyjaśniali podległym im funkcjonariuszom, że Konwencja Genewska z 1929 roku o jeńcach wojennych nie jest dokumentem, którym należy się kierować. Czekałoby obowiązywały dyrektywy Zarządu NKWD ds. Jeńców Wojennych i do tych dyrektyw dostosowali nawet kodeks karny. ▶



Stanisław Nowak (stoi trzeci z lewej w drugim rzędzie) pośród kolegów oficerów.

## ► **Przestępstwa przeciwko władzy radzieckiej**

„Utaczająca kartoczką” z wpisem o „aresztowaniu” to niezwykle istotny dokument dla ustalenia losów byłego wicestarosty w Skałacie i Tarnopolu, później starosty w Zbarażu i Limanowej. Przez 20 lat był urzędnikiem średniego szczebla administracji państwowej RP. Nie ma najmniejszych nawet wątpliwości, że zbierano o nim materiał wywiadowczy, angażując sowieckich agentów i ich współpracowników. Tak było we wszystkich kresowych województwach Rzeczypospolitej. Starostowie i ich zastępcy realizowali w tamtym terenie decyzje administracyjne, gospodarcze, polityczne władz państwowych. Jeszcze przed włączeniem województw kresowych do Zachodniej Ukrainy rozpoczęło się represjonowanie urzędników administracji, wymiaru sprawiedliwości, policji.

Korzystam z posiadanych list proskrypcyjnych, zeznań wymuszonych w śledztwie, donosów pisemnych lub oskarżeń z zemsty; nierzadko przez kryminalistów; mieli okazję wyrównać rachunek za ukaranie ich w okresie międzywojennym. Ferowane przez sądy wojenne lub osoboje sowieszczańskie NKWD<sup>9</sup> wyroki były wykonane natychmiast. Oskarżeni nie mogli domagać się apelacji, wezwania świadków obrony, przedstawienia dowodów niewinności. Nie mieli adwokatów. Sądono ich za przestępstwa przeciwko władzy sowieckiej, ferując wyroki z artykułów kodeksu karnego FSRR. Przykładem był wyrok Sądu Wojennego Frontu Ukraińskiego, który na karę śmierci skazał funkcjonariusza polskiej Policji Państwowej – plutonowego Jana Leśniaka, oskarżonego o „rozganiecie manifestacji 1-majowych” przed 1939 rokiem.

W porównaniu z policjantem zastępca starosty lub starosta kresowych miejscowości mógł usłyszeć tyle zarzutów, ile uznano za potrzebne i dostosowane do miejsca przesłuchania. Z wielu podejrzeń nie mógł się wytłumaczyć, o innych nie wolno mu było nawet słowa powiedzieć, jeśli chciał pamiętać o obowiązku tajemnicy państwowej czy służbowej. Realizując politykę władz państwowych Rzeczypospolitej, zwalczał przecież ruch komunistyczny na „swoim” terenie, odpowiadał za spokój i bezpieczeństwo. Śledczy oskarżyli polskich urzędników, sędziów, prokuratorów o „organizowanie walki przeciwko rewolucji październikowej” czy „wypowiedzi o charakterze kontrrewolucyjnym i ustrojowi państwowemu oraz władzom partyjnym ZSRR”. Działalnością kontrrewolucyjną mógł być referat wygłoszony na konferencji, wywiad udzielony gazecie, przemówienie na uroczystości z okazji 11 listopada.

Prowadzący śledztwo nie mieli zamiaru sprawdzać zarzutów. Liczyli się podpisanie protokołu przesłuchania i przyznanie się do najbardziej nawet absurdalnych działań przeciwko ustrojowi sowieckiemu. Awansowanie na odpowiedzialne stanowiska w Skałacie, Tarnopolu, Zbarażu zachęcało śledczych do „grzebania” w życiorysie urzędnika, wytypowanego na stanowisko starosty przez ministra spraw wewnętrznych.

## **Walczyli z ruchem robotniczym**

Data wywiezienia ppor. rez. Stanisława Nowaka z obozu kozielskiego łączy się ze ściśle tajnym pismem majora bezp. państw. – Nikołaja Osietrowa, zastępcy szefa OOGUGB NKWD ZSRR do komdiwa<sup>10</sup> Wasilija Czernyszowa - zastępcy Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR. Osietrowa niepokoi informacja o przybyciu do obozu jenieckiego w Juchnowie 364 aresztowanych na terytorium obwodu tarnopolskiego i stanisławowskiego Ukrainy Zachodniej oraz dostarczenie akt śledczych tych aresztowanych. Wysłani przez Osietrowa czekający potwierdzają pomyłkę. Z Zarządu NKWD ZSRR do Spraw Jeńców Wojennych w Moskwie do Smoleńska, a stąd do Juchnowa przychodzi jednak decyzja „przyjąć do obozu”.

„Aresztowani przebywający do tego czasu w więzieniach Tarnopola i Stanisławowa zostali osadzeni w obozie dla jeńców wojennych” – melduje Osietrow, wyznaczając równocześnie ekipę do sprawdzania akt 364 Polaków. Akta śledcze, sygnowane pieczęciami Zarządów NKWD zawierają: „umotywowane postanowienie o aresztowaniu z sankcją prokuratora wojskowego, nakaz aresztowania, protokół aresztowania, postanowienie w sprawie zastosowania środka zapobiegawczego oraz protokół przesłuchania, w którym oskarżony wyjaśnia, kim był, skąd przybył, czym się zajmował, a w szeregu wypadków jest również przyznanie się więźnia do prowokatorskiej i innej działalności wśród robotników i ludności pracującej. W niektórych aktach śledczych są także zeznania świadków o działalności aresztowanego w walce z ruchem robotniczym w byłej Polsce”.

## **Sprawdzani według „swojej przeszłości”**

Przygotowane notatki pozwalają ocenić aresztowanych „według ich przeszłości”.

Osietrow grupuje osobno: byłych policjantów, żandarmów, prowokatorów, wywiadowców, oficerów rezerwy, aktywnych działaczy partii politycznych w byłej Polsce, obszarników i urzędników państwowych. I ocenia, że – „288 wymienionych osób w istocie rzeczy jeńcami wojennymi nie są, aresztowano ich zaś za prowadzenie czynnej działalności kontrrewolucyjnej i z racji tej powinni pozostawać pod strażą”.

Z korespondencji można się dowiedzieć o podziale przywiezionych do Juchnowa na trzy grupy: 96 jedzie do Ostaszkowa, 254 do Kozielska, a 18 do miejsca aresztowania tzn. do Tarnopolskiego i Stanisławowskiego Zarządu NKWD. Do dyspozycji tych Zarządów należy skierować (razem z aktami) pozostałych oskarżonych „w celu kontynuowania śledztwa i pociągnięcia winnych do odpowiedzialności” – podpowiada major Wasilij Osietrow.

Zachowała się też korespondencja Szefa Zarządu NKWD ds. Jeńców Wojennych, kpt. bezp. państw. Piotra Soprunienki i Ko-

misarza Zarządu NKWD ZSRR do Spraw Jeńców Wojennych komisarza pułkowego Siemiona Niechoroszewa do Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR, kom. bezp. państw. I rangi Ławrietija Berii.

Wspomnianą korespondencję z podpisami Soprunienki i Niechoroszewa oceniano jako nie zrealizowany projekt zwolnienia z obozów jenieckich około 300 osób „ciężko chorych, całkowitych inwalidów, chorych na gruźlicę, starców od lat 60 i więcej oraz 400-500 oficerów rezerwy, agronomów, lekarzy, inżynierów i techników – co do których brak materiałów kompromitujących, a pochodzą z zachodnich obwodów Ukraińskiej SSR i Białoruskiej SSR”.

Następne zadanie o przyszłości kilku tysięcy oficerów oddawało sposób myślenia i decydowania autorów: „co do oficerów KOP-u (Korpusu Ochrony Pogranicza) pracowników sądownictwa i prokuratury, obszarników, aktywu partii POW i „Strzelec” oficerów II oddziału byłego polskiego Sztabu Głównego, oficerów informacji (ok. 400 osób) proszę o zezwolenie na założenie akt śledczych do rozpatrzenia na Naradzie Specjalnej przy Ludowym Komisarzu Spraw Wewnętrznych. Śledztwo w tych kategoriach spraw wskazane byłoby prowadzić w ludowych komisariatach spraw wewnętrznych Białoruskiej i Ukraińskiej SSR – 20 lutego 1940 roku wnioskovali Soprunienko i Niechoroszew.

Właśnie w tym zdaniu znaleźć można elementy decyzji, oddającej w ręce NKWD nie tylko wymienionych jeńców różnych formacji i służb, ale pomysł skierowania ich spraw w ręce Narady Specjalnej przy Ludowym Komisarzu Spraw Wewnętrznych<sup>11</sup>.

## Zginął jako urzędnik RP

Stanisława Alojzego Nowaka nie wysłano na śmierć jako jeńca wojennego wśród 14552 kolegów z trzech obozów. Zgładzono go jako jednego z 7305 Polaków, osadzonych w zakładach karnych i aresztach Zachodniej Ukrainy oraz Zachodniej Białorusi. W Juchnowie przebywał z numerem ewidencyjnym 296, w Kozielsku – z numerem 1530. Po dowiezieniu z Kozielska do Kijowa zamknęły się za nim drzwi celi więzienia wewnętrznego NKWD. Zasypano go oskarżeniami o przestępstwa przeciwko Związkowi Radzieckiemu z najbardziej nieprawdopodobnych zarzutów kodeksu karnego FRSSR. Dołączono zarzuty o kierowanie kompanią czynną 1809 „Związku Strzeleckiego”, kontaktowanie się z wywiadem KOP i podlegającymi staroście miejscowymi Komendami Policji Państwowej. Domagano się informacji o pracy podległego wydziału lub referatu specjalnego starostwa, o przełożonych z województwa i kontakty z kontrwywiadem Korpusu Ochrony Pogranicza, szkoleniach, wartości archiwów. A przede wszystkim nazwisk, adresów lub informacji, kogo i gdzie należy szukać.

W podobnej jak on sytuacji znalazło się kilkuset oficerów rezerwy Wojska Polskiego, aresztowanych i nie uznanych za jeńców wojennych.

Nieliczni z nich dotrwali do niemieckiej inwazji na ZSRR w czerwcu 1941 r. Nie przeżyli natomiast wydanego w czerwcu jeszcze jednego rozkazu o „rozładowaniu” zakładów karnych. Po wkroczeniu do Lwowa, Drohobycza, Stanisławowa, Tarnopola, Krzemieńca, Łucka, Berezecza, Wilejki, Kijowa znajdują Niemcy setki zwłok polskich wojskowych, schwytych w czasie próby przekroczenia granicy, ale także urzędników administracji i sądownictwa. Szybkość niemieckiej ofensywy pozwoliła – jak w Smoleńsku

czy Lwowie – dotrzeć do nie zabranych akt. Nieliczne zostaną ujawnione w prasie na terenie Rzeszy lub Generalnego Gubernatorstwa. Inne po ich odnalezieniu przez Aliantów w 1945 roku trafią do archiwów w Stanach Zjednoczonych lub – po uzyskaniu przez Armię Czerwoną – wrócą do Związku Radzieckiego.

\*\*\*

W archiwach Federacji Rosyjskiej, Białorusi, Ukrainy do dzisiaj zalegają akta Polaków represjonowanych w czasie drugiej wojny. W Moskwie czy Kijowie, wśród liczonych na miliony dokumentów, jest też teczka z protokołami przesłuchań i dokumentacją aresztowanego w Tarnopolu ostatniego limanowskiego starosty w II RP, ppor. rez. Stanisława Alojzego Nowaka. Byłbym innego zdania, gdybym pewnego dnia nie doszukał się w moskiewskich archiwach kilkuset stron dokumentów, dotyczących wywożenia (w marcu 1945 r.) polskich obywateli z Małopolski i ze Śląska do pracy w łagrach. Gdybym nie dotarł do przesłuchań uczestników przeciw sowieckiemu powstaniu w Czortkowie w styczniu 1940 r.

Nie wierzono w istnienie tych dokumentów. A jednak – przywiozłem!

**Fotografie: arch. A. Harasska, arch. St. M. Jankowskiego**

<sup>1</sup> Stanisław Ociepka „Dr Stanisław Alojzy Nowak – ostatni starosta limanowski w II Rzeczypospolitej” w: „Echo Limanowskie”, nr 222-223, marzec-kwiecień 2013r.

<sup>2</sup> Wywczaszy - były określeniem wypoczynku przed II wojną światową.

<sup>3</sup> 11 listopada 1918 cesarz Karol I Habsburg ogłosił, że nie abdykuje, ale rezygnuje z udziału w rządach, a 13 listopada przyjął delegację węgierską i podpisał kolejne zrzeczenie się z udziału w rządach, co praktycznie oznaczało koniec monarchii austro-węgierskiej.

<sup>4</sup> Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa („ZURL”) - jedno z dwóch państw ukraińskich powstałych w wyniku I wojny światowej. Sprawowała kontrolę nad niektórymi terytoriami Wschodniej Galicji w okresie 11 listopada 1918 – 16 lipca 1919 roku.

<sup>5</sup> W czerwcu 1919 nazwa zmieniona na 5 Lwowski Pułk Artylerii Polowej.

<sup>6</sup> W latach 1989 – 2010 Niezależny Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej ogłosił drukiem 25 „Zeszytów Katyńskich” o objętości od 100 do ponad 400 stron.

<sup>7</sup> Stanisław Ociepka „Dzwon Pamięci uderzył po raz pierwszy”, w „Echo Limanowskie”, nr 220-221, styczeń-luty, 2013r.

<sup>8</sup> Związek Radziecki nie podpisał tzw. III konwencji (1929 rok) „O traktowaniu jeńców wojennych”.

<sup>9</sup> Osobowe Sowieszczanie (OSO) pri NKWD było pozasądowym organem orzekającym o winie aresztowanego i działających przy zwierzchniku resortu spraw wewnętrznych, a wymierzającym w trybie doraźnym kary pozbawienia wolności do kary śmierci włącznie. Obok OSO NKWD w każdym obozie ZSRR działały od 1937 roku tzw. „Trójki NKWD”, składające się z szefa obwodowego NKWD, prokuratora i sekretarza obwodowego komitetu partii. „Trójka” również pozasądowa i zaocznie wymierzała kary pozbawienia wolności, a według niektórych źródeł skazywała na śmierć.

<sup>10</sup> Komdiv (komandir diwizji) – stopień wojskowy w Armii Czerwonej, odpowiednik późniejszego stopnia generała majora.

<sup>11</sup> Narada Specjalna przy Ludowym Komisarzu Spraw Wewnętrznych (Osobowe Sowieszczanie pri NKWD SSSR, skrót OSO NKWD) administracyjny pozasądowy organ orzekający o winie oskarżonego. Patrz też przypis nr 9.

# Pułkownik ks. dziekan dr Antoni Zapała - dopełnienie



Wmurowanie tablicy Pierwszej Oficerskiej Szkoły Strzeleckiej w Stróży. Ks. płk dr Antoni Zapała podczas mszy polowej - 8 października 1933 roku.

W majowo-czerwcowym wydaniu „Echa Limanowskiego” (nr 236- 237) ukazał się rys biograficzny zatytułowany „Zapomniana postać – płk ks. dziekan dr Antoni Zapała”. W artykule tym przypomniałem m. in. Jego posługę w parafii limanowskiej, w której pod koniec swojego życia został proboszczem i pełnił te obowiązki zaledwie przez 68 dni. Niestety, o losach ks. Antoniego w czasie okupacji hitlerowskiej z tego artykułu nie dowiemy się wiele. Znajdziemy natomiast informację, iż: „(...) ks. płk Antoni Zapała kapelan Wojska Polskiego, absolwent szkoły kadetów i jednocześnie kapelan Wodza Naczelnego był internowany na terenie Rumunii (...)”. W październiku 1941 roku powraca do Polski, aby w wynajętym mieszkaniu w Krakowie stworzyć warunki dla marszałka Edwarda Rydza – Śmigłego, który w drodze do Warszawy przez dwa dni ukrywał się po konspiracyjnym przekroczeniu granicy kraju w nocy z 26 na 27 października 1941 roku.

Napisałem wówczas także, że: „Nasz bohater płk ks. dr Antoni Zapała ukrywał się”. I dodałem: „Niektóre źródła podają, że organizował w grudniu 1941 r. potajemnie po-

grzeb nagle zmarłego marszałka Rydza – Śmigłego na Powązkach w Warszawie (...)”.

To tylko tyle udało mi się ustalić o Jego działalności w czasie okupacji hitlerowskiej. Poszukiwanie innych materiałów opisujących ten okres w jego życiu nie dało żadnych rezultatów. Nie udało mi się wyjaśnić, gdzie w tych latach przebywał i czym się zajmował. Mogłem jedynie przypuszczać, iż jego dynamiczny charakter i duża aktywność w czasach międzywojennych nie pozwoliłyby mu biernie oczekiwać na zakończenie wojny. Domyślałem się, że musiał być zapewne zaangażowany w działalność konspiracyjną, ale jaką nie znalazłem na to dowodów.

Cieszy więc reakcja Czytelnika „Echa Limanowskiego”, który po przeczytaniu wyżej wspomnianego artykułu przekazał redakcji materiał, z którego wynika, że moje przypuszczenia okazały się trafne. Pozwoliło to na uzupełnienie Jego biografii o istotny wątek, związany z działalnością konspiracyjną podczas II wojny światowej.

Tak więc po powrocie w 1941 r. do kraju ks. Antoni Zapała ukrywa się w Pałacu Biskupim przy ul. Floriańskiej w Krakowie i równocześnie podejmuje działalność konspiracyjną, przewożąc do Włoch – Watykanu wiele tajnych dokumentów.

Fakt ten wynika z protokołu przesłuchania sporządzonego w Krakowie 11 listopada 1946 roku na okoliczność rozpracowania zbrojnych organizacji niepodległościowych, przede wszystkim Narodowych Sił Zbrojnych oraz Narodowej Organizacji Wojskowej.

W czasie przesłuchania jednego z podejrzanych przez pracownika Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Krakowie, na pytanie: *Kto dopomagał w Pałacu Biskupim w przewożeniu ludzi NSZ za granicę i w jakim celu?*

Odpowiedź zanotowana w protokole brzmiała: „*W Pałacu Biskupim mieszkał ks. kapelan Wojska Polskiego płk Antoni Zapała, który za czasów okupacji przebywał we Włoszech, a w roku 1945 przyjechał z Włoch i zabierał ze sobą do Włoch różne dowody, meldunki, raporty, ostatnio zabrał z sobą sprawę Katynia i również przemyczał za granicę ludzi NSZ, dostarczał fałszywych dokumentów*”.

Przykład ten jednoznacznie wskazuje na bliskie związki łączące Pałac Biskupi w Krakowie i jego gospodarza – księcia Adama Stefana Sapiehę – z antykomunistycznym podziemiem, gdzie działalność konspiracyjną kontynuował także ks. Antoni Zapała.

W domyśle można przypuszczać dlaczego niespełna sześćdziesięcioletni kapłan po objęciu 10 listopada 1946 r. posługi proboszcza limanowskiej parafii, musiał tak szybko odejść.

Zmarł nagle 17 stycznia 1947 roku.

**Stanisław Ociepka**



# Niezrealizowane marzenia

Na oficjalnej stronie internetowej klubu „Limanovia” MKS od pewnego czasu umieszczona była sonda, w której postawiono pytanie: *Jak prognozujesz sytuację Limanovii – Szubryt na zakończenie sezonu 2013/14?* Do 8 czerwca, to jest dnia rozstrzygnięcia końcowych wyników w grupie wschodniej II ligi, na 1068 oddanych głosów: 125 – 11%, stwierdziło, iż drużyna wywalczy awans do I ligi, 636 – 59%, uznało, że wywalczy utrzymanie w II lidze, a 307 – 28%, niestety spadnie do niższej ligi.

Z tych choćby danych widać jak wielu kibiców ufało drużynie, bowiem 70% biorących udział w sondażu wierzyło w zrealizowanie pragnień i marzeń, które pozwoliłyby na udział w rozgrywkach ogólnopolskiej II ligi. Niestety stało się inaczej i limanowska drużyna nie uzyskała pozycji promującej - co najmniej ósmego miejsca.

Nie mniej dokonywać oceny drużyny, niech tymi spawami zajmą się osoby kompetentne, znające się na kanonach sztuki piłki nożnej. Wiem jednak, że w sporcie bywa różnie. Zapewne należy dokonać fachowej głębokiej analizy i zastanowić się nad przyczyną utraty formy większości zawodników, którym przecież nie można odmówić ambicji i woli walki oraz niezłego radzenia sobie w jesiennej części rozgrywek (zdobyli wówczas 26 punktów, zajmując – szóstą pozycję w tabeli, zaś w części wiosennej zdobyli tylko 22 punkty).

Błędem byłoby podejmowanie pochopnych decyzji i zaprzepaszczenie tak wielkiego zaangażowania wielu ludzi, a przede wszystkim głównego sponsora p. Zbigniewa Szubryta. Limanowska drużyna (beniaminek) w wielu sytuacjach nie miała szczęścia, a 10 pozycja zdobyta ostatecznie w II lidze nie jest przecież złą, ale niestety w obecnej sytuacji okazała się porażką.



Drużyna awansowała do II ligi w okresie jej reformy (utworzenie jednej grupy centralnej). Zapewne fakt ten nie był korzystny w świadomości zawodników, którym postawiono już na wstępie rozgrywek wysokie wymagania - zajęcie co najmniej ósmego miejsca, ale takie realia wymuszała reforma przeprowadzana w II lidze.

Przypomnijmy, iż w sezonie 2013/14 na 34 rozegrane mecze drużyna „Limanovia – Szubryt” odniosła 12 zwycięstw, 12 było remisów i 10 porażek. Ostatecznie zdobyła 48 punktów - o 3 punkty za mało, aby zrealizować marzenie kibiców i pozostać w centralnej II lidze. Pamiętajmy jednak, że w takiej sytuacji jak nasza drużyna znalazło się 20 klubów zarówno ze wschodniej jak i zachodniej grupy drugoligowców. Gdy przyglądnijemy się jakie drużyny spadają do niższej ligi np.: „Stal” Rzeszów, „Motor” Lublin, „Garbarnia” Kraków, „Polonia” Bytom, „Raków” Częstochowa, „Odra” Opole itd., to uzmysłowimy sobie, że zadanie jakie postawiono przed beniaminkiem naszej drużyny, nie było łatwe do zrealizowania. Tym bardziej, że zdecydowana większość zawodników nie miała żadnego doświadczenia na tym poziomie rozgrywek piłki nożnej i jeszcze na dobre nie okrzepła, a należało sprostać

zaistniałej sytuacji. Po mimo wszystko utrzymanie się w II lidze było realne „na wyciągnięcie ręki”, w co wierzyło 70% kibiców, a także świadczyły o tym niezłe wyniki z drużynami z czołówki ligi np. z „Wigrami” Suwałki, która to drużyna dziś świętuje awans do I ligi. „Limanovia – Szubryt” uzyskiwała korzystny bilans. W spotkaniach: z tą drużyną był remis (1:1) w Suwałkach oraz wygrana (2:1) w Limanowej, także z drużyną, która zajęła 8. pozycję premiującą pozostaniem w II lidze „Wisła” Puławy dwukrotnie był remis (1:1) w Puławach i (2:2) w Limanowej. Ważnym czynnikiem mobilizującym zawodników był także fakt, że na własnym stadionie przegraliśmy tylko dwa spotkania, ale niestety tak ważne dla losów drużyny z „Garbarnią” Kraków (0:1) i arcyważny mecz z Legionowem (0:3).

Te niepowtarzalne przeżycia sportowe, jakich dostarczyła drużyna „Limanovia – Szubryt”, a także bezsprzeczną promocję naszego miasta, mamy już za sobą.

Dziś nie obrażając się na los, trzeba zgromadzić siły do dalszej owocnej pracy, czego Czytelnikom – sympatykom drużyny życzy redakcja „Echa Limanowskiego”

**Tekst i fotografie:  
Stanisław Ociepka**

**Reportaż fotograficzny na stronach 34-35**

# Muzy – opiekunki artystów

Już w starożytnej Helladzie, w mitologii greckiej muzy były opiekunkami poezji sztuki i tańca. Dziewięć córek Zeusa i Tytanii Mnemosyne ówczesni poeci, uczeni filozofowie czcili jako bóstwa zsyłające natchnienie i wiedzę. W okresie hellenistycznym w III do I w. przed Chrystusem przedstawiano je z atrybutami symbolizującymi dziedzinę sztuki, którym patronowały: Erato – muza poezji miłosnej, Euterpe – muza poezji lirycznej, Klio – muza historii, Kaliope – muza poezji epicznej, Melpomena – muza tragedii, Polihymnia – muza sztuki mimicznej, Talia – muza komedii, Terpsychora – muza tańca, Urania – muza astronomii. Przewodnikiem muz był Apollo.

Bez opieki muzy nie ma ożywienia twórczego, natchnienia. Nawet w dzisiejszych tzw. „nowoczesnych” czasach muza

inspiruje, motywuje i dodaje „skrzydeł” w kreowaniu artystycznych zamysłów.

Oczywiście dla każdego chrześcijanina jest oczywiste, że talenty rozdawane są przez Pana Boga, których nie należy zakopywać w ziemi lecz korzystać z nich i powielać jak nas pouczają słowa Pisma św. Aby jednak pozostać w konwencji podniesionej na początku tego tekstu związanej z helleńskimi muzami, skierujmy naszą uwagę na muzy nam współczesne. Muzami w naszych czasach są niewątpliwie osoby, które wyrażają akceptację, aby przenieść na karton pędzlem i akwarelą tę jedyną ulotną chwilę, w której konterfekt został uchwycony. Może to być zarówno moment pełen zadumy, jak również radości i nawet perlisty uśmiech, który oddaje nastrój muzy w momencie ukazania na kartonie. Są to chwile ulotne, krót-

kotrwałe i szczególne, i tylko utrwalone na kartonie kolorowym pigmentem mogą być zachowane dla następnych pokoleń. Górnolotność tego stwierdzenia jest jak najbardziej uzasadniona, gdyż już najstarsze arcydzieła sztuki wzbudzają zachwyt również w czasach dzisiejszych. Muzea na całym świecie wypełniane są arcydziełami malowanymi na płótnie najczęściej farbą olejną, które uchwyciły ten ulotny moment i nastrój modelki, aby wspomnieć chociaż najsłynniejszy tajemniczy uśmiech Mony Lizy na obrazie arcymistrza włoskiego renesansu Leonarda da Vinci w paryskim Luwrze. Jest to niezwykła dziedzina naszej egzystencji, której na imię Sztuka.

Ilustracją do tego tekstu niech będą zamieszczone obok malarskie impresje na temat współczesnych nam muz.



Ołówek na kartonie.







Akwarele Leszka Piławskiego





Wierni kibice drużyny limanowskiej.

## Sportowe migawki z LIMANOVIA

Rozegrane mecze na stadionie w Limanowie

- Fot. 1 Limanovia Szubryt - Pelikan Łowicz (2:0)
- Fot. 2 Limanovia Szubryt - Olimpia Elbląg (1:0)
- Fot. 3 Limanovia Szubryt - Olimpia Zambrów (1:0)
- Fot. 4 Limanovia Szubryt - Radomiak Radom (1:0)
- Fot. 5 Limanovia Szubryt - Legionovia Legionowo (1:0)
- Fot. 6 Limanovia Szubryt - Pogoń Siedlce (0:0)
- Fot. 7 Limanovia Szubryt - Wisła Puławy (2:2)

Fotografie: Franciszek...



Fot. 1



Fot. 2



Fot. 3



Fot. 4

## z rywalizacji drużyny - SZUBRYT

wej  
(2)  
(1)  
(2:1)  
(1:0)  
owo (0:3)  
)  
)

cziszek Natanek, Stanisław Ociepka



Fot. 5



Fot. 6



Fot. 7



**Szubryt**<sup>®</sup>  
ZAKŁADY MIĘSNE

[www.szubryt.pl](http://www.szubryt.pl)

***Twoim dostawcą  
mięś oraz wyrobów  
wędliniarskich bardzo  
wysokiej jakości***



***Mięso Wędliny z Sądeckiej Doliny***

# Medal na 45-lecie i nagrody dla PSM im. Grażyny Bacewicz w Limanowej

Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia w Limanowej już od 45 lat kształci dzieci i młodzież o uzdolnieniach muzycznych. Występy uczniów uświetniają uroczystości miejskie, a koncerty organizowane w szkołach limanowskich zachęcają miłośników muzyki do podjęcia nauki. W okresie egzaminów, przypadających na koniec maja, o jedno miejsce rywalizuje kilka osób. To zasługa wysokiego poziomu kształcenia, a także życzliwego i indywidualnego traktowania uczniów. Przyciąga ciepła i serdeczna atmosfera, której na próżno szukać w szkołach- molochach. W niej rozwijają się talenty, czego potwierdzeniem są liczne nagrody uczniów oraz Medal „Za zasługi dla Miasta Limanowa”, którym Rada Miasta wyróżniła placówkę oraz nauczycieli: Teresę Staško, Marię Skrzyżewską i Iwonę Śliwę.

## W roli organizatora...

Od 1986 roku szkoła jest organizatorem Małopolskiego Konkursu Młodych Skrzypków, Wiolonczelistów i Gitarzystów. Przesłuchania konkursowe odbywają się co dwa lata, w tym roku miała miejsce XVII edycja. Honorowy patronat pełni wizytator CEA regionu krakowskiego Lidia Skrzyńiarz, a kierownictwo artystyczne sprawuje dyrektor PSM w Limanowej Wincenty Curzydło. Celem konkursu jest nie tylko wyłonienie zwycięzców, ale też wymiana doświadczeń i możliwość porównania z innymi tego typu placówkami w Polsce. Tegoroczne przesłuchania trwały od 9 do 12 kwietnia, odbywały się w auli szkoły i miały otwarty charakter dla publiczności. W konkursie uczestniczyło 72 uczniów państwowych szkół muzycznych I stopnia z różnych miejsc Polski oraz ze Słowacji. Występy oceniało profesjonalne Jury, tworzone przez profesorów Akademii Muzycznych z Krakowa i z Warszawy; w kat. gitary: Krzysztof Sadłowski i Janusz Sochacki, w kat. skrzypiec: Katarzyna Bąkowska i Maria Orzechowska, w kat. wiolonczeli: Zenon Łacny i Renata Gąsiorek.



Wśród laureatów nie zabrakło uczniów limanowskiej szkoły. W kategorii gitarzystów I nagrodę przyznano Karolowi Wikarowi, II nagrodę - Natalii Ciskas. W kategorii skrzypiec II nagrodę uzyskały: Dominika Sławek, Weronika Guzik, Zuzanna Matłag, a III nagrodę Aleksandra Baczyńska. Laureatów przygotowali nauczyciele: Renata Biernat, Paweł Moszycki i Sławomir Szymocha.

## Wśród najlepszych...

Wysoki poziom przygotowania oraz talenty uczniów zostały docenione przez jurorów konkursów ogólnopolskich i regionalnych. Łącznie uczestnicy zdobyli ponad 20 nagród w różnych kategoriach. Poniżej publikujemy listę laureatów:

**I Ogólnopolski Konkurs Zespołów Kameralnych Szkół Muzycznych I stopnia „Muzykowanie w Trzcianie”.** I miejsce: *Paweł Michalik, Małgorzata Lach* - duet fortepianowy, III miejsce: *Natalia Trzupek, Dorota Poręba* - duet fortepianowy, *Anna Kądziołka, Zuzanna Kuziel* - duet fortepianowy, wyróżnienie: *Karolina Zelek, Michał Sukiennik* - duet fortepianowy.

**Ogólnopolski konkurs dla uczniów wszystkich specjalności „Mały czy duży wirtuoz?”.** I miejsce: *Aleksandra Baczyńska* – skrzypce.

**III Ogólnopolski Konkurs Duetów Fortepianowych „Grajmy razem” Zamość.** III miejsce: *Karolina Zelek, Michał Sukiennik*, Wyróżnienie: *Joanna Pałka, Anna Wygoda, Gabriela Golonka, Dominika Florek*.

**III Konkurs gry a vista oraz czytania prozy i poezji „Czytanie w Trzcianie”.** Fortepian - I miejsce: *Gabriela Golonka, Dominika Florek*, Flet poprzeczny - II miejsce: *Aleksandra Kędroń*, Akordeon - wyróżnienie: *Szymon Lis*.

**XVII Małopolski Konkurs Pianistyczny im. I.J. Paderewskiego.** I miejsce: *Karolina Zelek*.

Laureatów przygotowali nauczyciele: *Renata Czaja, Halina Dyczek, Edyta Lachor - Mitkowska, Maria Skrzyżewska, Elżbieta Szymocha, Justyna Trzópek, Mateusz Gurgul, Sławomir Szymocha*.

**Gratulujemy Laureatom, Nauczycielom oraz Dyrekcji tegorocznych osiągnięć.**



„Dziółek” (po prawej) - droga w kierunku miejskiego lasu z widokiem na Chłopską Górę z Krzyżem Jubileuszowym. Po lewej „Mały laszek” nazywany „Sośliną”.

Od roku na łamach „Echa Limanowskiego” publikowany jest cykl artykułów Jana Wielka, zatytułowany: „Limanowskie ulice”. Ten rodzaj przekazu ma charakter poznawczy i pozwala zrozumieć, dlaczego wybrano taką a nie inną nazwę dla określonej ulicy. Z wielu listów kierowanych na adres redakcji, jak również z bezpośrednich rozmów z Czytelnikami dwumiesięcznika wynika, iż tego rodzaju publikacje cieszą się dużym powodzeniem. Jedną z form wyrażenia tego zainteresowania przez Czytelników jest wola dopełnienia posiadanych wiadomości do zamieszczonych już artykułów w „Echu” na temat danej ulicy, bądź opisanie jej z perspektywy własnego doświadczenia życiowego.

Poniżej prezentujemy tę formę uzupełnienia opisu ulicy Leśnej, autorstwa p. Antoniego Mamaka, który znany jest z wielu artykułów publikowanych w „Echu Limanowskim”. Rodzina Mamaków w tym rejonie „Pod Górą” mieszka od trzech pokoleń.

Stanisław Ociepka

## Droga przez „Dziółek” - ulica Kolejowa

Antoni Mamak

Tej polnej drodze nadano nazwę ulicy Kolejowej dopiero w tym czasie, kiedy władze miasta Limanowej w swych ambitnych planach urbanistycznych projektowały nowe drogi i osiedla mające w przyszłości być realizowane. Tą nową nazwą – ulica Kolejowa zastąpiono wcześniej powszechnie używaną przez mieszkańców „Pod Górą” i okolicznych przysiółków drogę przez „Dziół” albo inaczej drogą „Dziółkiem”.

Droga „Dziółem” była starsza od drogi „Średniej” (Leśnej) i zaczynała się od zakrętu ulicy Krakowskiej (obecnie Jana Pawła II) i szła w kierunku północno-wschodnim, łączyła się ostrym klinem na „Granicach” z drogą „Średnią” dziś ulicą Leśną. Nazwa: droga „Dziółem”, albo przez „Dziół”, była trafnym określeniem, miała swój odnośnik do rzeczywistości. Dzielila ona bowiem na całej swej długości pola należące do miasta od pól należących do Sowlin. Rozdzielała również nizinę Limanowej od płaskowyzu położonego pod Chłopską Górą i Łysą Górą.

Opisując ten liczący około jednego kilometra odcinek drogi, wracam do wspomnień z dawnych czasów, drogi niemalże dzikiej, bardzo stromej, biegnącej głębokim wąwozem, częściowo porośniętym drzewami i wśród pól uprawnych. Była ona drogą kamienistą, w czasie deszczu pokrywała się błotem po kostki, zaś w zimie stawała się całkowicie nie do przejścia przez metrowe zasypy śniegu zwiewanego z pól. Podczas wiosennych roztopów napęczniała szarą topielą śnieżną stawała się trudną do przebrnięcia.

Jak w takich warunkach radzili sobie mieszkańcy regionu „Pod Górą”, podążając do miasta, do pociągu, czy do szkoły?

Szli przez pola na wprost, omijając największe zasypy i przeszkody, uważając, aby nie deptać zasianych pól zbożem.

Droga ta miała jeszcze inne zadanie. Podczas ulewnych deszczów i powodzi, zbierała wszystkie wody z okolic Chłopskiej



Wiekowa sosna na krańcu ulicy Kolejowej.

Góry i z hukiem odprowadzała je w dolinę. Pomimo wszystkich niedogodności, miała bardzo ważne znaczenie. Była jedyną drogą prowadzącą do pól uprawnych położonych na działkach zamożnych gospodarzy z tzw. „Przed Miasta”. Była drogą dojazdową mieszkańców „Pod Górą” do miasta i najkrótszą do stacji kolejowej. Droga „Dziółem” miała również historyczne znaczenie. Do 1933 roku stanowiła granicę miasta Limanowej i Sowlin. Granica ta przebiegała od mostu na potoku Mordarka, wzdłuż wówczas ulicy Becka, do jej zakrętu i dalej na północ pod górę, dzieląc pola uprawne należące do miasta, od pól uprawnych położonych w Sowlinach.

Zapraszam więc w wyobraźni na wspólny spacer drogą przez „Dziół”, którą w przeszłości podążali mieszkańcy „Pod



Fot. Marta Mamak

Góra” do miasta. Kiedy już zdecydujecie się, drodzy Czytelnicy, na spacer tą ulicą, porównacie co jeszcze obecnie można tam ciekawego zobaczyć.

Pierwszy odcinek, którym pójdziemy, rozpoczyna wąska dość stroma droga od ulicy Krakowskiej, później Becka (obecnie Jana Pawła II), do przejazdu kolejowego. Po lewej stronie w Sowlinach przy samej drodze na wzgórkach stał drewniany domek z werandą, p. Stanisława Ceglarza, zasłużonego nauczyciela, inicjatora budowy, a zarazem wieloletniego kierownika szkoły powszechnej w Limanowej. Idąc dalej, nieco wyżej znajdują się duże magazyny wybudowane na początku okupacji (1940 r.), które służyły jako składy zbożowe.

To tu z całego powiatu limanowskiego chłopcy zwozili zboże w ramach obowiązkowego kontyngentu. Magazyny te ze stacją kolejową łączyła nowo wybudowana kolejowa bocznica. Przy tej okazji nadmienię jak zostały uratowane przed wysadzeniem wraz z budynkiem stacji kolejowej przez wycofujące się wojska niemieckie w styczniu 1945 roku z Limanowej. Według ówczesnych opowiadań miał do tego przyczynić się kierownik magazynu Bernet, który za wódkę przekupił niemieckich saperów.

Jak już wspomniałem stacja kolejowa do roku 1933 znajdowała się na terenie Sowlin. Rozjazdy dawnej stacji zaczynały się od istniejącej drogi w kierunku zachodnim, było to utrudnieniem dla kolejowych transportów niemieckich. Dlatego w 1943 roku Niemcy dla celów wojennych przedłużyli stację, poszerzając teren przez likwidację części skarpy. Uzyskali w ten sposób obszar dla następnych dwóch torów w kierunku ulicy Leśnej. Pracowały przy tym dziesiątki przymusowo zatrudnionych ludzi. Przedłużenie stacji stworzyło możliwości ulokowania długich transportów wojskowych jadących na front wschodni. Po wojnie stacja kolejowa była centralnym punktem wyładunkowym wszelakiego rodzaju towarów, szczególnie materiałów budowlanych.



Widok od legendarnej sosny na kotłinę Limanowej.

Fot. Stanisław Ociepka

Idąc dalej w kierunku przejazdu kolejowego, tuż po stronie prawej jest okazała kamienica wybudowana dla pracowników kolei. Otoczona parkiem i rabatami kwiatów była świadectwem porządku i czystości jakie cechowały wszystkie budynki kolejowe. W budynku tym w połowie lat 30-tych XX wieku mieściła się świetlica – harcówka II DH im. Jana III Sobieskiego.

Wracam do moich czasów z lat dziecięcych i nieco późniejszych. Długie składy wagonów towarowych ciągnęły się na całej długości stacji powodując blokadę drogi. Zastawiona wagonami droga często uniemożliwiała przez wiele godzin przejazd wozom konnym do położonych powyżej pól. Miało to również przykre skutki dla pieszych, którzy chcieli przejść na drugą stronę przejazdu. Stojące wagony towarowe stwarzały trudności. W tej sytuacji niecierpliwi pokonywali przeszkodę, przechodząc przez skład wagonów towarowych.

Sam o tym się przekonałem. Miałem czternaście lat, szedłem do miasta, droga była zastawiona długim składem wagonów, wdrapałem się na pierwszy stopień, następnie postawiłem nogę na buforze i stanąłem na zaczepie. W tym momencie szarpnęło wagonem i pociąg ruszył, a ja omal nie wpadłem pod wagon. Przerażony chwyciłem się stalowej klamry, bo pociąg nabierał coraz większej szybkości, zatrzymał się dopiero w Pisarzowej.

Utrudnienia mieli wszyscy, którzy chcieli przejść na drugą stronę. Należało obejść cały transport pociągu wzdłuż torów, narażając się na jeszcze jedno niebezpieczeństwo, mandat ze strony ochrony kolei, tzw. „Sokistów”.

Kiedy już pokonamy przejazd kolejowy, idąc w górę po stronie zachodniej w grabowym lesku znajduje się cmentarz żydowski, dziś niemalże zapomniany. Ostatni raz Żydzi tą drogą przebyli latem 1942 roku. Mam jeszcze w pamięci okrutny widok, kiedy przypadkowo przez zniszczoną bramę kirkutu widziałem pomordowanych tam Żydów.

Po wojnie podczas pierwszej przebudowy limanowskiego rynku z płyt nagrobnych cmentarza żydowskiego zostały wykonane ławki i obrzeża. Czyn ten był godny pogardy.

Jako młody chłopiec siadałem na tych kamiennych ławkach i palcami rąk szukałem wrytych od spodu napisów w języku hebrajskim. Mamy uzasadnione pretensje do dewastacji naszych nekropoli i narodowych pamiątek na dawnych Kresach wschodnich. Jak my postępowaliśmy z grobami współmieszkańców naszego miasta, którzy żyli obok nas przez tyle dziesiątek lat?

Powracam do naszej drogi. Na niewielkim skwerku, na wzgórkach, tuż za torami rośnie bardzo stary kasztanowiec, a na nim jest zawieszona mała kapliczka, z kopią figury limanowskiej Piety. Kto i kiedy ją tam umieścił nie wiem, może był to ktoś z rodziny Jońców, bo kasztanowiec rośnie na ich polu, w pobliżu zabudowań gospodarczych. Jako dziecko przechodząc obok tej kapliczki, pobożnie robiłem znak krzyża świętego, a jesienią przy okazji napychałem kieszenie dojrzałymi kasztanami. Przez wiele lat tą kapliczką szczególnie opiekowała się Maria Kędroń, mieszkająca w pobliżu. W podzięce za opiekę podczas jej ostatniej drogi kondukt żałobny zatrzymał się przy niej i trwał chwilę w milczeniu. ▶



Kapliczka w pobliżu zabudowań rodziny Jońców.

Niedaleko tego miejsca w kierunku wschodnim jest mało widoczny metalowy krzyż, kiedyś był on drewniany otoczony żywopłotem. W miejscu tym była zbiorowa mogiła ofiar epidemii cholery, która dziesiątkowała w połowie XIX wieku nasze miasto i okoliczne wioski.

Pierwszy dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi nad torami jest własnością rodziny Jońców, dziś mieszkają tu potomkowie Walentego Jońca. Był on jednym z najbardziej zamożnych gospodarzy w Limanowej. Posiadał około 60 morgów pól uprawnych i lasu.

Jego dom położony w starym sadzie, ostłonięty lipami, robił wrażenie dworku.

Zabudowania gospodarcze, stajnie, stodoły znajdowały się obok samej drogi. Przy jednej z nich był kierat. W czasie jego pracy drewniany dyszel z zaprzęgiem konnym zataczał koło po całej drodze. Z domem Walentego Jońca mam wiele wspomnień. Chodziłem tam często, aby pomóc w pracach polowych, jako odrobek za pasienie krów na górze w lesie, na „Dziolku”.

Kontynuujemy nasz spacer drogą, która nadal wznosi się dosyć stromo wzdłuż płytkiego potoku, a raczej jaru, porośniętego czeremchą i wierzbami. W miejscu gdzie kończy się jar, wypływa źródelko, płytko odbudowane, służy jako studzienka z wodą do picia. Po drugiej stronie przy drodze jest drugi a zarazem ostatni dom i stodoła Józefa Mamaka – stolarza. Sądząc po jego wyglądzie, jest znacznie później wybudowany niż Walentego Jońca.

Idziemy dalej. Droga prowadzi stromo do góry, ale już nie wąwozem. Po obu stronach rozciągają się tylko pola uprawne należące do gospodarzy „Przed Miasta”: Jońców, Jeźów, Jasiców, Józefa Mamaka – działacza ludowego i innych. Teraz przed nami jest krótki, ale najbardziej stromy odcinek drogi „Dziolka”. Chcąc tędy przewieźć załadowany wóz ziemniaków, gospodarze musieli mieć parę dobrych koni albo dwie pary krówek.

Pokonawszy to wzniesienie, zmęczeni, wreszcie stajemy na samym wzgórzu pod wiekową sosną. Ta sędziwa karłowata sosna, z dziwnie pokręconym pniem i konarami, oparła się wielu burzom, huraganom i jest „niemym” świadkiem wielu wydarzeń, jakie przetoczyły się przez kotlinę Limanowej. Tu także znajdował się pierwszy ziemny kopiec graniczny między Limanową a Sowlinami. Przebyta przez nas droga i trud jej pokonania zostaje wynagrodzony wspaniałym widokiem na dolinę Limanowej z doskonale widocznym kamiennym kościołem, browarem Marsów z charakterystycznym kominem, a także pozostałymi zabudowaniami miasta. Z prawej zaś strony mogliśmy zobaczyć rafinerię nafty w Sowlinach z dumnie strzelającymi w górę trzema kominami. Przed nami rozciąga się wzgórze Jabłońca. Na jego wzniesieniu w brzozowym lasku, mieści się duży cmentarz wojenny z 1914 roku, a dalej Golców i wzgórze Lipowe, gdzie był folwark własności parafii limanowskiej.

W głębi pojawia się panorama Beskidu Wyspowego z najwyższym szczytem Mogielicą i dalekim Gorcem. Góry te o każdej porze roku są inne. Czasem bardzo bliskie jakby na wyciągnięcie ręki, to znowu dalekie i zamglone. W zimie spowite śniegiem i szronem, a jesienią mienią się złotem i purpurą. Nikt nie jest w stanie ocenić, ilu ludzi pragnących ciszy i wytchnienia odpoczywało w cieniu tej wiekowej sosny. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, w ilu kadrach zostało utrwalone piękno tego miejsca. Jakie niesamowite wrażenie odczuwamy patrząc z tego miejsca w dniu Wszystkich Świętych na rozświetlone tysiącami lamp i zniczy limanowskie cmentarze. To w tym miejscu na małej łące, od dawna zbierali się młodzi i dorośli mieszkańcy z pobliskiego „Kamieńca” z „Przed Miasta” i z „Pod Góry”, aby w dzień Zielonych Świąt przy ognisku w bladym świetle pełni księżyca, wspólnie śpiewać, bawić się przy muzyce aż do świtu.

Odwracamy się, przed nami równina ciągnąca się aż do podnóża Chłopskiej i Łysej Góry, oddzielonych charakterystycznym pasem pól uprawnych do samego ich szczytu. Wąziutka droga, płytkim wąwozem prowadzi nas dalej pośród pól uprawnych i łąk. Już tylko niewielka odległość dzieli nas od małego lasku, nazywanego „Sośliną”. Ten najbliższy położony od naszego miasta gęsty sosnowy las jest ulubionym miejscem odpoczynku całych limanowskich rodzin, gości przyjezdnych i spotkań par zakochanych. Ten mały lasek kryje w sobie mało już dziś widoczne ślady walk, jakie rozegrały się na Jabłońcu w grudniu 1914 roku. Były to leje powstałe po wybuchu pocisków armatnich.

Sosnowy lasek otacza półkolem kotlinę zwaną „Mokrą Łąką”. Takiej kolorowej łąki, zwłaszcza na wiosnę, nie spotka się nigdzie; błękit, róż, złoto, zlewa się w jeden wspaniały kobierzec, utkany na tle zieleni i pokrytych białym kwieciem jabłoni.

Nasza podróż przez „Dziol” dobiega końca. W tym miejscu ostrym klinem łączy się ulica Kolejowa z ulicą Leśną. W tym miejscu jeszcze nie tak dawno można było zobaczyć drugi graniczny kopiec, oddzielający pola Limanowej od Sowlin. Położony „Pod Górą” na „Granicach”, dziś ulica Leśna, jeden z dwóch domów i wiatrak był domem rodzinnym piszącego te słowa.



Kirkut, usytuowany w pobliżu ulicy Kolejowej.



# Od zapomnianego obozu zagłady... do 10-lecia działalności Muzeum w Belżcu

Dzień 3 czerwca to ważna data w działalności Muzeum w Belżcu, a także dla limanowian. W tym dniu co roku organizowane są w Belżcu uroczystości upamiętniające zagazowanie prawie pół miliona galicyjskich Żydów, w tym również z Limanowej, przez niemieckich okupantów.

Przez prawie dwadzieścia lat po likwidacji obozu zagłady w 1942/43 obowiązywało milczenie, a w miejscu obozu nie było nawet tablicy informacyjnej. Pisała o tym Ewa Koper w „Echu Limanowskim” w artykule „Zapomniany obóz”.

W roku 2004 powołano do życia Muzeum Pamięci w Belżcu, a w jego działalności nie zabrakło akcentów limanowskich. Przykładem bodaj najbardziej znaczącym była wystawa fotografii Grzegorza Jońca, limanowianina, który z narażeniem życia w czasie okupacji, tuż przed eksterminacją Żydów z Limanowej wykonał całą serię zdjęć z ukrycia! Owocem współpracy Muzeum z „Echem Limanowskim” jest kilka artykułów Ewy Koper, pracownika Muzeum, ukazujących się w ciągu ostatnich trzech lat w naszym piśmie.

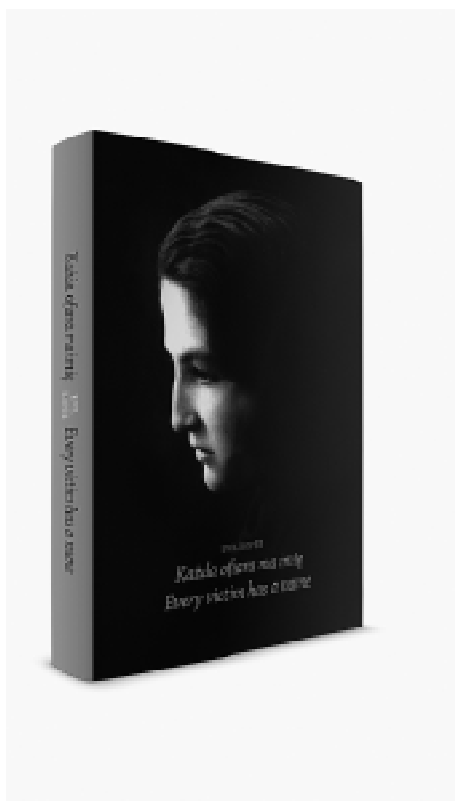
Uwieńczeniem obecności Limanowej w pracach Muzeum jest umieszczenie na okładce albumu kończącego prawie 10 lat pracy Ewy Koper projektu zatytułowanego – „Każda ofiara ma imię”, zdjęcia zamordowanej w Belżcu Janiny Kurtycz – Tiffenbruner, mieszkanki Pisarzowej, żony Józefa Kurtycza znanego w Limanowej pedagoga. Album ukazał się w edycji dwujęzycznej, polsko – angielskiej ze znaczącym międzynarodowym wsparciem finansowym.

Dla przypomnienia, ostateczne rozwiązanie kwestii Żydów z Limanowej i jej okolic dokonało się w Belżcu, gdzie większość społeczności żydowskiej została zagazowana, o czym pisaliśmy wielokrotnie na łamach naszego dwumiesięcznika.

**Leopold Kucharczyk**

\*\*\*

*Sonderkommando Belzec der Waffen-SS* – pierwszy z trzech obozów „Akcji Reinhardt” nieodwracalnie wpisał się w historię najtragiczniejszych miejsc światowego ludobójstwa.



Prezentacja albumu „Każda ofiara ma imię”. Publikacja ukazała się w 10. rocznicę działalności Muzeum - Miejsca Pamięci w Belżcu.

Uroczyste otwarcie Muzeum – Miejsca Pamięci w 2004 roku rozpoczęło nowy, niezwykle ważny etap w powojennej historii terenu byłego niemieckiego obozu zagłady w Belżcu. Jednym z nadrzędnych zadań powołanej do życia instytucji stało się upamiętnienie ofiar, którymi byli niemal wyłącznie obywatele narodowości żydowskiej z terenu Polski, ale także z Niemiec, Austrii, Czech i Słowacji.

W dniu 3 czerwca 2014 roku przypadła 10. rocznica otwarcia Muzeum, - Miejsca Pamięci w Belżcu. Z tej okazji w instytucji zorganizowano konferencję naukową zatytułowaną „Sztuka pamięci. Rzeźba pomnikowa w miejscach zagłady w Polsce”. W gronie prelegentów byli: Tomasz Kranz – dyrektor Państwowego Muzeum na Majdanku, Piotr Cywiński – dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, Paweł Śpiwak – dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, Halina Taborska – redaktor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie.



Ponadto w Muzeum zaprezentowano pierwszy album upamiętniający ofiary „Akcji Reinhardt”. Niniejsza praca jest hołdem dla ofiar w dziesiątą rocznicę otwarcia Muzeum. W publikacji zamieszczono ponad 200 archiwalnych fotografii stanowiących unikatowy materiał historyczny, rozproszony dotąd po świecie wraz rodzinami ofiar. Na fotografiach zobaczymy portrety dzieci, młodzieży i osób dorosłych, a także wizerunki utrwalone podczas rodzinnych uroczystości, na wakacjach, spacerze czy w pracy. Kilka z nich wykonano podczas okupacji i dziś stanowią wyjątkowo cenne świadectwo wojennych doświadczeń. Większość prezentowanych fotografii cudem ocalała na okupowanych ziemiach polskich, dzieląc tym samym losy swoich właścicieli, po których wszelkie ślady istnienia miały zostać zatarte.

**Ewa Koper**

# Nowa publikacja o Limanowej

Stanisław Ociepka



Pocztówka z 1900 roku z kolekcji Jacka Drożdżaka.

Gromadzone są materiały do nowego kolejnego wydania albumu o Limanowej, tym razem pod tytułem „*Limanowa na starej pocztówce*”. Wcześniej wydane zostały trzy albumy, zatytułowane „*Okruchy pamięci*”, obrazujące historię miasta ukazaną z pomocą archiwalnych fotografii. Taki rodzaj publikacji cieszył się wśród mieszkańców Limanowej dużym zainteresowaniem. Zaś same wydania książkowe, które pojawiły się na limanowskim rynku, kolejno w roku: 2008, 2010, 2012 w krótkim czasie zniknęły z półek i obecnie poszukiwane są przez miłośników takiego prezentowania wydarzeń z przeszłości, jakie miały miejsce w Limanowej. Obecnie istnieje możliwość kupienia jedynie tomu III „*Okruchy pamięci – Suplement*”. We wspomnianych wydaniach w niewielkiej liczbie można odnaleźć także archiwalne pocztówki z Limanowej. Nie jest to jednak satysfakcjonująca ilość prezentacji dla znawców tematu oraz do powracającego zainteresowania tym rodzajem przekazu przeszłości. Korzystając więc z bogatych zbiorów pocztówek, które są w posiadaniu limanowskich kolekcjone-

rów, przygotowana zostanie nowa publikacja wzbogacająca poprzednie trzy albumy, tym razem ukazująca na starej pocztówce historię Limanowej na przestrzeni XX wieku.

## Czym jest pocztówka i jaka jest jej historia?

Poczta austriacka wprowadziła w życie projekt nowej formy „otwartej” (przesyłanej bez użycia kopert) korespondencji wg pomysłu prof. Herrmanna z dniem 1 października 1869 r. Wcześniejsze próby (w latach 1865 i 1868) wprowadzenia do obiegu pocztowego tego typu taniej korespondencji dokonane w Niemczech, zostały przez tamtejsze władze pocztowe odrzucone. Pierwszym z niemieckich wnioskodawców był pracownik berlińskiej poczty (a później minister w rządzie Rzeszy) Heinrich von Stephan. Wprowadzenie przez pocztę Austro-Węgier „karty korespondencyjnej” („Correspondenz – Karte”) otworzyło przed nią pocztowe szlaki na całym świecie. Wówczas to i poczta niemiecka przypomniała sobie o wniosku Heinricha Stephana, kreując go na wynalazcę otwartej korespondencji.

Karta pocztowa wcześniej zwana także „odkrytką”, podobnie jak wiele przełomowych odkryć nie miała łatwego początku. Nowa usługa pocztowa początkowo budziła zgorszenie niektórych kręgów społecznych z powodu braku prywatności przekazywanych informacji, zyskała jednak stopniowo uznanie ze względu na znaczne ułatwienie przy wysyłaniu, w porównaniu do normalnie zaklejonego listu, a także dzięki dużo niższej cenie.

Wkrótce na tak wydawanych kartkach do korespondencji zaczęły pojawiać się pierwsze rysunki i napisy okolicznościowe. W taki sposób narodziła się właściwa pocztówka. Początkowo obrazki znajdowały się w rogu kartki, lecz z biegiem czasu zaczęły zajmować coraz więcej miejsca. Od początku istnienia jedna strona przeznaczona była na adres i znaczek, natomiast na tekst – strona z widokiem. Jeżeli nadawca nie chciał ingerować w obrazek, na tekst pozostawało mu niewiele miejsca, w wielu wypadkach musiał się ograniczyć do lakonicznych życzeń. Dopiero w 1904 r. poczta zmieniła zasady i odtąd na jednej stronie umieszczono obrazek, natomiast na dru-

giej znalazło się miejsce na korespondencję, znaczek oraz adres. Zasada ta obowiązuje do dnia dzisiejszego.

Obecnie z całą pewnością nie da się ustalić, kto wyprodukował pierwszą pocztówkę. Spór o pierwszeństwo toczyło już ponad sto lat temu kilkanaście miejscowości i państw. Za najstarsze kartki uważane są m. in. kartki wydane w czasie wojny prusko-francuskiej w 1870 r. przez obie strony konfliktu, a także pochodząca z tego samego roku widokówka Serba Petera Manojlovicia przedstawiająca smoka na tle zabudowy miejskiej, znana jedynie z przedwojennej reprodukcji.

Polscy wydawcy rozpoczęli wydawanie pocztówek na początku lat 90-tych XIX wieku. Ze względu na nieumieszczenie roku wydania na kartach, właściwie jedynym sposobem ich datowania była data obiegu widoczna na stemplu pocztowym. Przyjmuje się, że najstarszą pocztówką pochodzącą z obecnych ziem polskich, a kiedyś terenów Cesarstwa Niemieckiego, jest widok Śnieżki z 23 lipca 1873 r. Wydał ją właściciel schroniska na tej górze a jednocześnie urzędnik agencji pocztowej, która się w nim mieściła, Fryderyk Sommer.

Pod koniec XIX wieku widokówki zyskały olbrzymią popularność. Ich fenomen związany był ze zmianami w ówczesnym świecie. Żywiolowy rozwój techniki spowodował, że i twórcy pocztówek zaczęli fantazjować na temat niedalekiej przyszłości. Pocztówki zawoływały cały świat – sprzedawano je w wielkich wiedeńskich magazynach oraz w kioskach ulicznych Paryża. Pocztówka stała się „nieodłączną towarzyszką całej cywilizowanej ludzkości”. Widokówka pełniła wtedy funkcje nie tylko użytkowe, była także obiektem pasji kolekcjonerskiej sporej części społeczeństwa.

Pocztówkę mógł wydać każdy – najczęściej robili to kupcy, księgarze, drukarze, fotografowie, właściciele gospód i hoteli, proboszczowie i organizacje wyznaniowe, a także organizacje społeczne i dobroczynne.

I w tym nawale zdarzeń pojawiła się mała ilustrowana kartka, która (powtórzmy za Z. Grabską) „jak motyl barwny przysiadła wśród bibelotów na stylowym sekretarzyku wielkiej damy, i wśród książek na poważnym biurku uczonego, i wśród galganków na poddaszu biednej szwaczki, i wśród rondli na stole kuchennym, i w koszarach

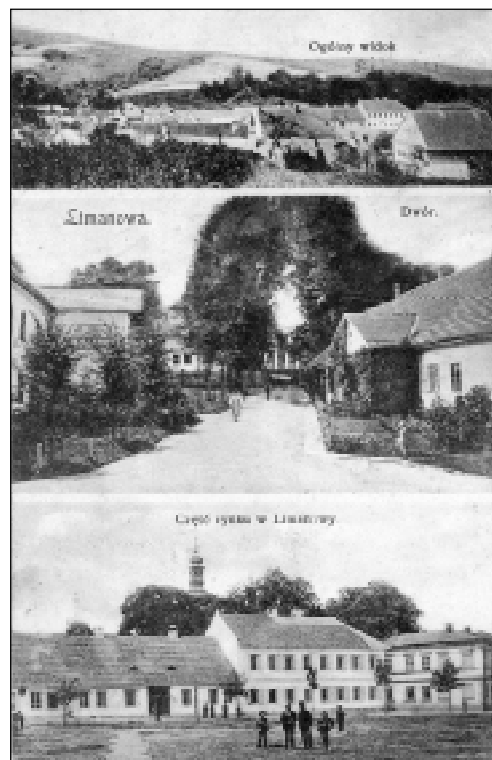
żołnierskich, i w chatupie chłopskiej... któżby to niegdyś pomyślał, że pocztówka będzie przyjaciółką, pośredniczką, nieodłączną towarzyszką całej cywilizowanej ludzkości...”.

Dziewiętnaste stulecie, obok innych zdobyczy techniki, przyniosło niebawomy rozwój drukarstwa. Pojawiły się nowe, atrakcyjne w odbiorze, techniki druku: litografia i światłodruk. To one przyczyniły się do uatrakcyjnienia pocztówkowych ilustracji. Rewolucją w masowej produkcji pocztówek stało się dopiero zastosowanie światłodruku, który bardzo wiernie odtwarzał sfotografowane obiekty. „Złote lata” karty pocztowej trwały do czasów I wojny światowej. Pocztówka od zarania swych dziejów przekazywała informację, ale miała również radować oko odbiorcy.

Zbieranie widokówek – już niemal od momentu ich narodzin, a od początku XX wieku szczególnie – stało się jedną z najpopularniejszych pasji kolekcjonerskich. Zaczęto organizować wystawy pocztówek. Zbieracze prezentowali swe zbiory, wymieniali się podwójnymi nabytkami, sprzedawali i kupowali cenne dla siebie egzemplarze.

Do obniżenia rangi pocztówki jako sposobu kontaktów międzyludzkich przyczynił się rozwój innych środków komunikowania. Niemniej jednak pocztówka stała się m. in. przekazem wielowiekowego dziedzictwa kulturowego o mia-

stach polskich, na której ukazywana była ich architektura oraz zabytki, a dziś niekiedy stanowi jedyny dokument historyczny. Do naszych czasów mimo zawirusowań dziejowych zachowało się bardzo dużo pocztówek, które w ostatniej dekadzie stały się znowu przedmiotem zainteresowania.



Ok. 1915 roku. Nakład: Aron Rottenberg.



Limanowski rynek z początku XX wieku.



Willa „Zacisze”.

Fot. Leszek Wojciech Pilawski

Zwlekałem...zwlekałem, aż w końcu pośpieszył mi z pomocą Wyspiański(!). Przynaglony wewnętrznym impulsem, zdecydowałem się więc na niniejszą wypowiedź. Pragnę bowiem, co prawda z opóźnieniem, podzielić się za pośrednictwem „Echa Limanowskiego” z jego Czytelnikami sumą odczuć i wrażeń, jakie przyniósł swoją szatą i treścią poprzedni numer „Echa” (EL nr 234-235, marzec-kwiecień 2014). Fotografia „Willi Zacisze” w Limanowej autorstwa Leszka Wojciecha Pilawskiego, otwierająca i współtworząca stronę tytułową oraz zdjęcie Zbigniewa Sulковского wewnątrz numeru pisma na str. 8, a także krótka monografia „Willi Zacisze” wraz z tetraptykiem „Cztery pory roku” L. W. Pilawskiego, zasługują na szczególne omówienie. Dodam, gwoli usprawiedliwienia, że „opór” przed niniejszą wypowiedzią wiązał się z obawą, aby nie zostać posądzonym o jakieś „kunktatorstwo” z zawsze mi życzliwym Redaktorem Stanisławem Ociepką. Zaręczam, mój list nie jest pisany „na zamówienie”.

Entuzjastyczna fraza: ...*po prostu znakomity*... zapożyczona świadomie od Wyspiańskiego (z przywołanego wyżej cytatu) ma głębszy sens i kontekst<sup>2</sup>. Odnosząc tę frazę, całym przekonaniem, tak do wymienionych autorów, jak i do ich prac-zdjęć, zamieszczonych w EL, pośrednio zaś do Redaktora Ociepki, *odpowiedział-nego* za poziom edytorski i szatę pisma, o czym dalej.

Tak się składa, że w ostatnich miesiącach jest mi szczególnie „blisko” do Wyspiańskiego. A to, z racji moich poczynań

nań na niwie oświatowo-przewodniczej, a ponadto – autor genialnych projektów plastycznych oraz realizacji (m. in. monumentalnych witraży krakowskich) był w 1896 roku jednym z „Ojców Założycieli” Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, z którym związany jestem już 40 lat.

Wyspiański w Limanowej? – pomyśli ktoś zaskoczony narzucającym się skojarzeniem. Owszem! – odpowiemy: w Limanowej i wokół. Oto, już od ośmiu lat, w gminie Limanowa, obejmującej urokli-

we sołectwa i wioski, które okalają miasteczko nad Mordarką i Potokiem Starowiejskim – Wyspiański gości duchowo – corocznie wraz ze swoją ponadczasową twórczością w szkołach samorządowych. A w Rupniowie w okazałym, nowym Zespole Szkół im. Stanisława Wyspiańskiego, dzieją się rzeczy fantastyczne! Odbywa się konkurs wiedzy o życiu i twórczości wielkiego artysty i poety, a na zakończenie – wzruszający popis dziecięcych i gimnazjalnych laureatów, w każdej dziedzinie konkursu. Objawiają się nowe, młodziutkie talenty! A wszystko za sprawą nauczycieli – opiekunów oraz pedagogów ze szkół, od Mordarki przez Pasierbiec po Stare i Nowe Rybie, przy życzliwej aprobacie i pomocy władz gminy oraz niezawodnych sponsorów konkursu. Sam zaś, od lat pięciu uczestniczę, jako jeden z „juryistów” w tym osobliwym i poruszającym Świecie Szkoły w Rupniowie – placówki tak pięknie usytuowanej na łagodnym wyniesieniu pod Kostrzą.

I wreszcie przystępuję do omówienia wybranych przeze mnie „klejnotowych cząstek” pisma, wplecionych artystycznie i tematycznie w całości wczesnowiosen-

negu numeru „Echa” A.D. 2014. Są to – już na wstępie wskazane: strona tytułowa pisma ozdobionego „Willą Zacisze” na okładce oraz nagrodzona specjalną decyzją jury fotografia Zbigniewa Sułkowskiego wewnątrz. W trakcie pisania tekstu, przyszły mi nowe skojarzenia, skutek namysłu nad tematem. Będzie zatem o doskonałym autorskim dopełnieniu L.W. Pilawskiego oraz suma refleksji o ojczystym krajobrazie, którego już nie ma. To a’propos mistrzowskiej fotograficznej pracy Zb. Sułkowskiego i poniekąd, w nawiązaniu do „ostrych jak brzytwa” felietonów Andrzeja Stasiuka, obecnego od 2013 r. cyklem: „Kroniki Beskidzkie i Światowe” w „Tygodniku Powszechnym”.

Gdybym dysponował (piszę serio) własną nagrodą – przyznałbym ją ex aequo Redaktorowi Ociepce i Panu Leszkowi Pilawskiemu, gratulując wspomnianej już **znakomitej** okładki. Nagroda byłaby za: kultywowanie i propagowanie krajobrazowego piękna w regionie; ukazanie domu rodzinnego jako siedziby wielopokoleniowej oraz za celne nawiązanie do tradycji domu polskiego jako dworku (poprzez towarzyszący „Czterem porom roku...” tekst Pana Leszka).

Przed laty ukazała się w Krakowie, wydana w pięknej formie książka dr Mieczysława Rokosza „*Na szzańcach pamięci*”. Szkice z dziedziny tradycji i tożsamości”. Autor, wielki miłośnik Tatr i Krakowa, historyk mediewista, serdecznie bliski piszącemu te słowa dzięki dziesiątkom lat współpracy – tak pisze w jednym z zamieszczonych w tomie szkiców PN.: „Dom Polski”: „(...)Tradycja domu polskiego była też żywa w okresie PRL-u. Dużą rolę odgrywały teraz wspomnienia legionistów Piłsudskiego i uczestników śląskich i wielkopolskich, a także wspomnienia nie tylko z oflagów, stalagów i obozów koncentracyjnych, lecz także Katynia i gulagów oraz wspomnienia z okupacyjnej konspiracji i świeżych doświadczeń czasów stalinowskich. Wspomnienia te – dodajmy – przekazywano przyciszonym głosem, w najściślejszym gronie. Tradycja ta, przemilczenia lub fałszowania w oficjalnej edukacji – trzeba tu jednak pamiętać o wielu mądrych i dzielnych nauczycielach – i w życiu publicznym, a kultywowana przez dom w warunkach rodzinnych, miała istotne znaczenie dla odrodzenia narodowego 1980 r. Wielką też była rola konspira-

*cyjnie przemycanej literatury emigracyjnej (...) oraz rola wolnego radia. Ożywienie tradycji i doświadczenia domu polskiego dało się zaobserwować także w okresie stanu wojennego po 13 grudnia 1981 r. Wartości tak pojętego domu są nieocenione dla tożsamości, zdrowia i kultury duchowej narodu. Choć ostatnio to wszystko trochę gdzieś jakby się podziało. Także dziś dla przyszłości, dla umocnienia duchowej kondycji narodowej wspólnoty ważne wydaje się odrodzenie rodziny – „odbudowanie” i „Konserwacja” domu polskiego”.*<sup>3</sup>

Sądzę, iż końcowe zdania z przywołanego wyżej cytatu, pozostają dzisiaj szczególnie aktualne. Pora w tym miejscu wyjaśnić moje, tyle serdeczne co nostalgiczne skojarzenia po lekturze monograficznego szkicu Pana Leszka. Tekst jest mi bliski z racji podobieństw, czy też przystającej wspólnoty losów domostw. Otóż „moja” „Bochenkówka” (ongis na skraju Wieliczki), to mała cząstka niegdyś większej schedy – gospodarstwa po dziadku kolejarzu Piotrze Bochenku. Najsamprzód nadkonduktora c. k. kolei państwowych a w odrodzonej w 1918 r. RP, kierownika pociągów PKP Kraków – Lwów. Jednocześnie całe aktywne życie, zamiłowanego sadownika i hodowcy karpia (w założonym przez siebie stawie rybnym). Wreszcie prekursora zakładania nowoczesnych sadów w okolicach Wieliczki. Wspomniana „cząstka” przekazana mi przez Śp. Mamę – dziedziczkę, stała się dla najmłodszego wnuka dziadka Piotra, faktycznie treścią lub raczej „sposobem” na resztę lat życia. Dom nasz, wybudowany w 1924r. jako tymczasowy<sup>4</sup>, dzisiaj liczy dokładnie 90 lat i po wielu etapach modernizacji, pozostaje dla kolejnego pokolenia domem rodzinnym. Przysparzając każdego roku tyle samo radości, co i kłopotów związanych z utrzymaniem. Bochenkówkę otacza ogród krajobrazowy, a chociaż domostwo nie jest dworkiem, to przecież posiada stylowe cechy tzw. architektury tradycyjnej i budzi uznanie swoją malowniczością. Niechaj mi Czytelnicy, a także Pan Leszek, wybaczą ten przydługi „marginies” tematu. Wracam do rzeczy.

Otóż jestem głęboko przekonany, że zarówno „Willą Zacisze” jak i nasze domostwo na Bochenkówce posiadają duszę. I tutaj dochodzę do sedna tematu, a właściwie zagadki, która nurtuje piszącego. A mianowicie: czy my dzisiaj mamy

jeszcze „domy polskie”, tak pięknie omówione przez M. Rokosza „W Szańcach Pamięci” (przytoczyłem jedynie niewielki cytat z jego szkicu), czy też istnieją już jedynie: jedno...dwa rodzinne „miejsca zamieszkania”. I dalej: jak ustalić zależność między ambicjami inwestora – budowniczego domu a jego wrażliwością, jako właściciela posesji na kwestie etyki, piękna kompozycji i harmonii krajobrazu, które swoją działalnością współtworzy i pomnaża lub ... niweczy? To są pytania właściwie bez odpowiedzi. Mamy obecnie, w czasach wolnego rynku „deweloperskie” (okropne określenie), a także pełnej swobody wyboru spośród setek projektów – prawdziwą „rewię mody” na bogate kicze architektury jednorodzinnej, na pseudodworki oraz owe słynne „*gargamele*”<sup>5</sup>, czyli nowobogackie rezydencje budowane z pogwałceniem zasad regionalizmu, a jedynie celem pokreślenia prestiżu właściciela.

Niestety! Zanikło to, co ongiś nazywano „*architecture parlante*” (architekturą przemawiającą) z jej wypracowanymi jeszcze w XIX stuleciu oraz przestrzeganymi kanonami estetycznymi. Kiedy historyzm w architekturze europejskiej – wbrew złej legendzie, wcale twórczy – nadał jej (architekturze) taką rangę, iż była policzona wraz z rzeźbą i malarstwem do słynnej „trójcy” sztuk pięknych. A na ziemiach polskich pod zaborami narastało twórcze poszukiwanie stylu narodowego, nawiązującego do idei swojskości i tradycji<sup>6</sup>.

„*Każde dzieło architektury powinno się tak przedstawiać, aby formą mówiło o swojej idei. Kościół na pierwszy rzut oka musi mówić o tym, że jest przybytkiem Boga, miejscem modlitwy. Dom powinien wyświadczać się z wejrzenia swego, że służy za siedzibę człowieka*”.

Tak pisał jeszcze w roku 1882, w swoim pionierskim artykule Franciszek M. Martynowski, teoretyk i historyk sztuki z Warszawy, ale publikujący głównie w ówczesnej Galicji<sup>7</sup>. Od tamtej epoki minęły „lata świetlne” naznaczone rozwojem i upadkiem architektury w ogóle. I tym cytatem, który w dowód uznania dedykuję Panu Leszkowi Pilawskiemu, zamykam część pierwszą mojej wypowiedzi.

A teraz, otwieramy „Echo Limanowskie” nr 234-235 na stronie 8, aby pochylić się z prawdziwą przyjemnością nad obrazem – fotografią Zbigniewa Sułkowskiego. A zdjęcie Pana Zbyszka jest... po prostu **znakomite!**

Przyznam, iż o zdjęciu tym trudno pisać zwięźle. Niesie ono bowiem, dla oglądającego (a powracam doń – po raz kolejny... i kolejny) tyle skojarzeń, tyle emocji, tyle osobistych odniesień i narracji – odnośnie młodości oraz minionej epoki. Jest jakaś tajemnica w tym mistrzowsko ujętym zrealizowanym obrazie – pejzażu. Ocalonym szczęśliwie – „na zawsze” – od zapomnienia. Zdjęcie jest tak doskonale przemyślane, iż przy braku czujności, może wyprowadzić na manowce analizującego obraz. Doświadczyłem tego w trakcie powstawania niniejszego tekstu, zmuszony do rewizji swoich wcześniejszych przemyśleń.

W tej sytuacji, odkładam na bok „kontekst konkursowy” zdjęcia, który doprowadził pracę pana Sułkowskiego do nagrody i zamieszczeniu w „EL”. Decyduję się na własne domysły, ale z pokorą przyjmuję krytykę Autora, jeśli moje „spekulacje” okażą się chybione. Ale może nie będzie tak źle!

Otóż twierdzę, że zdjęcie Pana Zbyszka jest owocem przemyślanych plenerów zdjęciowych i być może należy do całej serii prac powstałych w wyniku wielokrotnych wędrówek z aparatem wzdłuż wybranych odcinków przebiegu linii kolejowej na jakże umiłowanej przez Autora dawnej kolei transwersalnej: Chabówka – Nowy Sącz. Na pewno, nie jest to obraz powstały a’ vista – zatrzymany w kadrze w „oka mgnienu”, jedynie dzięki intuicji fotografującego, który miał instynkt i refleks doświadczonego „łowcy tematów”, mając niezawodną rękę i profesjonalny sprzęt.

Świadomie dookreślam omawianą pracę fotograficzną mianem obrazu, albowiem dostrzegamy tutaj wszystkie kryteria (kanony) obrazu prawdziwie pejzażowego. Tak niezwykle, jak niezwykle jest temat zdjęcia: spotkania się dwu już zaginionych światów. Świata zabytkowej komunikacji i techniki kolejowej (z odeszłej epoki „pary i elektryczności”) ze światem odwiecznej kultury pracy człowieka na roli, w symbiozie i wspólnie z rozumnym, szlachetnym zwierzęciem. Pracy wyznaczonej przez rytm pór roku. Świat tego ostаточно odchodzącego w przeszłość tradycyjnego podgórskiego rolnictwa, po mistrzowsku i po „malarzku” oddaje (i symbolizuje), ukazana na pierwszym planie „grupa” gospodarza, który wraz z dorodnym koniem zaprzęgniętym do wyładowanego wozu, zatrzymał się powyżej po-



lonego przejazdu przez tory. Drugi świat, nie umarłej na szczęście, ale przecież dzisiaj nieczynnej beskidzkiej kolei górskiej „uosabia”, ukazany w centrum obrazu, dynamicznie sunący – jakby nadbiegający z impetem – parowóz ze składem osobowym. Jesteśmy świadkami małego spektaklu z „pyszną, okazałą maszyną w „roli głównej”, dymiącą i sapiącą, jak ongiś na anielskich obrazach Wiliama Turnera!

A całe to spotkanie umiejscowione jest w pejzażu, który nie jest jeszcze (w tamtym momencie czasu) krajobrazem zdewastowanym. Określałbym go mianem pejzażu „postkulturowego”. Składa się nań: 1) absolutnie i genialnie „żywa” kompozycja pierwszego planu z rolnikiem, koniem i skansenowym wozem; 2) wychylony w skłonie zakrętu rozpedzony pociąg „retro”; 3) tuż za nim zabytkowy most żelazny z odwróconą kratownicą konstrukcji (unikat!); 4) odmierzony rytm drewnianych słupów z podporami dla biegnącej wzdłuż nasypu kolejowego linii łączności. Sam krajobraz, akcentowany aż po wysoko podniesiony horyzont obrazu, rozproszonymi wśród pól domami gospodarstw – oceniałbym na czasy modernizacji Limanowszczyzny oraz ogólnie okres „późnego PRL-u” (przełom lat 70 i 80 ubiegłego wieku). To bardzo ważny, dokumentacyjny walor zdjęcia Pana Zbyszka. Ukazuje ostatni moment, przed nadchodzącą totalną dewastacją polskiego krajobrazu kulturowego (patrz teksty Andrzeja Stasiuka w „Tygodniku Powszechnym” „Kroniki Beskidzkie i Światowe”).

Zatrzymajmy się na chwilę przy tamtej zabudowie. Pierwszy z domów (po lewej, najbliższej w kadrze zdjęcia) budzi u pi-

szącego dobre skojarzenia, jako typ skromnych budynków jednorodzinnych (wiejskich, małomiasteczkowych) rozpowszecznionych w latach 60. tamtego stulecia. Murowany, parterowy z podpiwniczeniem (często mieszkalnym!), nakryty dachem dwuspadowym dla półpiętra, z facją mansardową pośrodku – harmonijnie wpisujący się w podgórski krajobraz. W takim domu autor tych zdań mieszkał podczas niezapomnianych studenckich lat, wakacji spędzanych w Tymbarku, tuż przed i po dyplomie (1969, 1973). Natomiast grupa zabudowy gospodarstw po prawej, w linii horyzontu obrazu, należy już niestety do „epoki Gierka” oraz lat 80. XX wieku. Okazałe, wyraźnie wypiętrzone i przeskalowane w projektach domy, miały w zamyśle stanowić wspólne gniazda dla licznych domowników, dla „starych i młodych” małżeństw, co już było zapowiedzią przekleństwa rodzinnego. Najczęściej jednak górne kondygnacje pod dachem były nieukończone i służyły jako skład dla... siana. W tej grupie najbardziej niepokoi dom piętrowy nakryty „kopertowym” dachem, a więc bez strychu użytkowego. Taki fatalny dom – klocek, wszechobecny i zaśmiecający pejzaż Polski od lat 70-tych po koniec wieku.

I jeszcze końcowe spostrzeżenie. Proszę zwrócić uwagę na ledwo dostrzegalne domy zabudowy dawnej, tradycyjnej, wiejskiej – tuż za skłonem, na tle zalesionego wzgórza. To relikty dawnej ruralistyki. Epigony (naśladowcy wielkich utalentowanych poprzedników – przyp. red.) struktury wiejskiej, świadectwo czasów, kiedy od zamierzczłych lat ówczesne domy wznoszone były zgodnie ze zwy-



czajem czyli, do „natury polskiego nieba” i klimatu. A więc blisko ziemi. Stanowiły niezawodne siedliska, miejsca życia i schronienia dla ludzi i żywego inwentarza, wznoszone w miejscach niezależowych, konstrukcją odporne na siły natury: wszelkie nawałnice letnie i zimowe. A przy tym szczerze w prostym pięknie regionalnych typów. Takie domy celowo wyszukiwaliśmy na rodzinne wakacje i ferie z małymi chłopcami w latach 70 i 80 (od Orawy po Tokarnię Krakowską).

Chcę zakończyć moją wypowiedź próbą innego odczytania kompozycji znakomitego obrazu – zdjęcia Zbigniewa Sułkowskiego. Proszę więc Czytelników, aby zechcieli zwrócić uwagę, w jaki sposób Autor skomponował swoje zdjęcie. Centrum obrazu wyznaczają dokładnie, precyzyjnie zbiegające się po przekątnej, czyli diagonalnie (ukośnie) linie komponujące pracę. Na pierwszym planie obraz przecinają ukośnie zbiegające się dwie polne drogi; ponad nimi podąża równolegle ukośna linia zarysu głębokiego jaru, przerywanego po obu stronach nasypem z torami. Na drugim planie, od prawego górnego narożnika fotografii zbiega do środka (diagonalnie) tor kolejowy z „infrastrukturą”. Na przecięciu – dokładnie w centrum osi kompozycyjnych – główny temat obrazu. I wreszcie: pierwszoplanowa – po raz kolejny podkreślam – genialnie ujęta grupa tematyczna „z koniem, rolnikiem i archaicznym, dziś już niespotykanym wozem wiejskim na drewnianych, okutych obręczami kołach, jakie ongiś wyrabiali... kołodziej! Historyk sztuki lub miłośnik plenerowego malarstwa pejzażowego rodem z XIX stulecia, określiłby tę grupę

precyzyjnym terminem, jako umiejętnie wprowadzony do obrazu – *rodzajowy sztafaż*<sup>8</sup>. Bez tego tematu na pierwszym planie, cały obraz – zdjęcie Pana Zbyszka – z koleją parową w centrum, - straciłby swoją artystyczną siłę.

Sądzę, że prace fotograficzne zamieszczone w limanowskim dwumiesięczniku w zeszycie marcowo – kwietniowym A. D. 2014, zasługują na bardzo wysoką ocenę. Zachowując zatem wszelkie proporcje przy porównaniu z osądem Wielkiego Artysty o pracy dawnego kolegi Józefa Mehoffera – **stwierdzam: są wprost znakomite.**

*Na Bochenkówce, sob. 10 maja 2014 (pisałem w okresie wielkanocnym – ukończyłem „na św. Stanisława”)*

\*\*\*

**Komentarz Autora fotografii (o podobnym wyrazie jak zdjęcie konkursowe) bogacących artykuł Stanisława Jacka Kołodziejczyka, w którym analizuje walory wynikające z nagrodzonego zdjęcia Zbigniewa Sułkowskiego w konkursie: „To, co minęło, powraca”.**

## Zaklinanie czasu

Fotografia wbrew pozorom nie jest w stanie dokumentować rzeczywistości, jedynie znaki przemijalności, świata i naszego życia. Wszystko sfotografowane, należy już do przeszłości i może już tylko wyrażać nasz stosunek emocjonalny do niej. Przy świadomości, że nikt dwa razy nie wejdzie do Heraklitowej rzeki. A także konstatacji wyrażonej przez zespół „Wilki”, że „Baśka miała fajny biust”.

Wróćmy do obrazków. Pierwszy „zdjąłem” jesienią 1990 r. w Męcinie. Fotografia nostalgiczna fotogenicznej infrastruktury kolejowej, której technicznego przeznaczenia nawet tłumaczyć nie będę, bo już nie istnieje. Parę lat później znikła po degradacji stacji Męcina do roli przystanku. Jak i czarno łaciate krowy włóczące się przy plancie na swobodzie, bo możliwość ich kolizji z pociągiem była już wtedy znikoma.

Parę lat temu zwierzał mi się ojciec Dominik Orczykowski, kapelan lotnictwa sportowego – *Polataliśmy nad moją Męcina i wyobraź sobie – ani jednej krowy nie dostrzegłem! Pytam potem sołtysa – nie ma? Są! – odpowiada – ale stoją cały dzień w oborach. Minimum wysiłku w obrzędku inwentarza. Co ty na to?*

A ja na to, że wiele męcinianek znalazłem, ale żadna nie czuła powołania zostać pasterką.

Druga fotografia – z Dobrej – powstała dwadzieścia parę lat później. W oryginale kolorowa. Wystająca ze stacyjnego buszu kolej niby ta sama, co niegdyś na tej linii, ale to już tylko lunapark. Taka prawie Tuwimowa „fraszka igraszka, zabawka blaszana”. Cóż szkodzi, że dorośli lubią się bawić jak dzieci?

Na pierwszym planie kozy, w encyklopedii ks. B. Chmielowskiego „śmierdzący rodzaj zwierząt”, ale te jakby świeżo umyte. Całość skombinowałem tak, by wyglądało, że przyjechały pociągiem.

Też taka zabawa aparatem.

O kozach też dałoby się refleksyjnie: wyeliminowane ideowo z krajobrazu za nieboszczyka Gierka, jako kojarzone z ubóstwem, znów się pojawiły. I dobrze, że bez kompleksów.

**Zbigniew Sułkowski**

<sup>1</sup> St. Wyspiański. *Listy Zebrane*. II Listy do Lucjana Rydla. Część 1 – Listy i Notatki z podróży. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1979. Opracowali Leon Płoszewski i Maria Rydlowa (patrz: str. 371, list 73, Kraków 26 października 1896, \*wyraz trzy razy podkreślony).

<sup>2</sup> Cytat z Wyspiańskiego stanowiący „motto” mej wypowiedzi, pochodzi z post scriptum listu artysty do przyjaciela i powiernika, jakim był w tamtym okresie (rok 1896) Lucjan Rydel.

<sup>3</sup> M. Rokosz, *Na szanłach pamięci*. Szkice z dziedziny tradycji i tożsamości, Kraków 2003, Księgarnia Akademicka, „Dom polski” str.243

► (zakończenie szkicu), tamże wybrana literatura przedmiotu.

<sup>4</sup> Wg relacji Śp. Cioci Heleny Bochenkówny. Najmłodsza córka Piotra, absolwent UJ – inż. rolnik, 66 lat w Zgromadzeniu SS. Zmartwychwstaniek – zafascynowana była rozlicznymi talentami i dokonaniem swego ojca. „Dziadek wziął ludzi z Huciska i w cztery miesiące wystawił obecny dom”. Jego nagła śmierć w 1936 r. (miał 62 lata) przekreśliła zamiary budowy zaplanowanej wille, której projekty architektoniczne zapamiętałem na Bochenkównce jako chłopiec.

<sup>5</sup> To żartobliwe, acz pejoratywne określenie, bodajże jako pierwszy wprowadził do obiegu arch. Krzysztof Bień, wykładowca krakowskich uczelni, wybitny projektant i realizator licznych dzieł architektury Krakowa analizujący sytuację w polskiej przestrzeni krajobrazowej.

<sup>6</sup> Zorganizowana z wielkim sukcesem w 1912 r. w Oleandrach Krakowska Wystawa Architektury i Wnętrz w Otoczeniu Ogrodowym, ostatecznie wylansowała ideę tzw. dworku polskiego, jako twórczego spełnienia kompromisu pomiędzy modernizmem a rodzimością. Idea dworku polskiego nie tylko zaspakajała romantyczną potrzebę architektury Narodowej, ale trafiała w sedno potrzeb społecznych (Jacek Purchla, Kraków i jego, architektura na przełomie wieków, [w:] „Stulecie Młodej Polski. Studia pod redakcją Marii Podrazy – Kwiatkowskiej”, Universitas, Kraków 1995).

<sup>7</sup> F.K. Martynowski „Charakterystyka stylów, [w:] „Inżynieria i budownictwo”, tom IV, 1882, zeszyt Nr 21 (str.228, 229). Wcześniej autor opublikował „Z domu i świątyni. Szkice i obrazy z przeszłości Polski”, Lwów, 1880”. Teoretyczne przemyślenia Martynowskiego na nowo wydobył oraz przywołał w swej ważnej rozprawie Piotr Krakowski, Fasada dziewiętnastowieczna. Ze studiów nad architekturą wieku XIX, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prace z Historii Sztuki” 1981, t.12, nr 16. Pani Monice Bogdanowskiej i Zbigniewowi Beiersdorfowi serdecznie dziękuję za pomoc w ustaleniu pierwotnego źródła cytatu.

<sup>8</sup> Sztafaż: upiększenie, ozdobienie a w malarstwie ożywienie kompozycji pejzażu przez wprowadzenie postaci ludzkich albo zwierzęcych. (patrz: Wł. Kopaliński, Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych, Wiedza Powszechna, Warszawa 1971).

# Podzwonne dla ciuchci

Jan Wielek

„Beskid orient”, „Błękitna strzała południa” i ogólnopolska „Ciuchcia” to żartobliwe określenia dla pociągów kursujących na trasie kolejowej Chabówka – Nowy Sącz. Szczególną sławę zdobył sobie „Baciar” kursujący koło północy z Nowego Sącza do Limanowej.

Ale to już historia. Nie modernizowana linia z powolnymi pociągami przegrała z żywiołowo rozwijającym się transportem samochodowym – tak państwowym, jak i prywatnym. Dziś jedynie z westchnieniem możemy wspominać o świetności Galicyjskiej Kolei Transwersalnej, uczestnicząc w „Majówce z Parowozem”. Jest to jedno z niewielu spotkań z historyczną koleją organizowane od czterech lat przez Nowosądeckie Stowarzyszenie Miłośników Kolei. Tegorocznym motywem przewodnim imprezy była: 100. rocznica wybuchu I wojny światowej oraz 130. rocznica uruchomienia linii kolejowej z Nowego Sącza do Chabówki.



„Majówka z Parowozem” - wjazd pociągu retro na stację Limanowa. 25 maja 2014 rok.

Z pejzażu pozniakały malownicze „rampy”, czyli szlabany strzegące przejazdów drogowych, dróżnicze budki, sztreki, (nasypy), na których ułożone torowiska zarosły chwastami; sypią się kolejowe podkłady, niszczone stacyjne budynki. Gdyby mój śp. dziadek, ztwardziały kolejarz, wstał z grobu, z pewnością by dobrowolnie do niego powrócił. Wprowadzony do eksploatacji „szynowy autobus” imitacja kolei także przestał kursować, zaś planowana międzynarodowa szybka kolej relacji Kraków – Podłęża – Piekielko – Nowy Sącz – Muszyna to kwestia nie określonej jeszcze bliżej przyszłości. Ale i to będzie miało inny wymiar – romantycznie, powolna

kolej, gwizdem pozdrawiająca mijane po drodze osiedla i zabudowania zamieniona zostanie na szybkie, bezduszne, łomoczące potwory.

A stara kolej była żyta ze środowiskiem – według przejazdów „personek”, czyli pociągów osobowych orientowano się w czasie i nawet zegary nie były potrzebne. Dawała pracę dziesiątkom ludzi – mundur kolejarzki nigdy nie nubił i był gwarantem stałej pensji, deputatów węglowych, darmowych biletów. Z kolei żyły całe rodziny, czego przykładem jest moja, gdzie dziadek – Jan Król – był torowym, jego syn „zwrotniczym”, zaś córka dróżnikiem.



Ponarzekawszy trochę, przypomnijmy lata świetności naszej bohaterki. Skorzystamy tu z wielu opracowań znawcy historii kolejnictwa, limanowskiego nauczyciela i przewodnika turystycznego zamieszkanego fotografą Zbigniewa Sułkowskiego, który wielokrotnie na temat kolei pisał w prasie lokalnej i nie tylko.

Linia kolejowa Chabówka – Nowy Sącz była odcinkiem Galicyjskiej Kolei Transwersalnej przecinającej z zachodu na wschód całą Galicję, czyli ziemie polskie pod zaborem austriackim. Rozpocząła się w Cieszynie i biegła przez Zwardoń, Żywiec, Suchą, Limanową, Nowy Sącz, Stróże, Zagórz, Sambor, Stanisławów, aż do Husiatynia na granicy z Rosją. Była to swego rodzaju analogia do starszego mniej więcej o wiek bitego traktu drogowego z Bielska przez Suchą, Mszanę Dolną, Limanową, Nowy Sącz i dalej na wschód. Powstała w rekordowym czasie – budowę rozpoczęto w 1882 r., a ukończono w 1885, przy czym poszczególne odcinki budowano jednocześnie. 16 grudnia 1884 roku ruszyły pierwsze pociągi na linii Chabówka przez Beskid Wyspowy do Nowego Sącza, słusznie wkrótce uznanej za najpiękniejszą w Beskidzie. Chabówka była wtedy niewielką stacją, dopiero po oddaniu w 1899 r. linii prowadzącej do Zakopanego stała się stacją węzłową; wybudowano tu wtedy okazały dworzec i parowozownię.

Linia Chabówka – Nowy Sącz mierzy dokładnie 77,9 km i przebiega dolinami rzek: Raby, Łososiny, Smolnika i Dunajca. Przy jej budowie pokonać musiano przeszkody natury topograficznej, zwłaszcza na odcinku Mszana Dolna – Kasina Wielka – Dobra; stacja w Chabówce położona jest na wysokości 488 m n. p. m., zaś Kasina ponad 600 m. Najwyżej położonym punktem jest przystanek Skrzydlna 608 m n. p. m., zaś najniższej stacja Marcinkowice - 252 m n. p. m. Spadki toru przekraczają na ogół wartość 20 promili, z obu stron stacji Kasina Wielka dochodzą do wielkości 27 promili. W kończącej bieg torów stacja w Nowym Sączu leży na wysokości 302 m n. p. m. Między Chabówką a Nowym Sączem wykonano 59 małych mostów i 15 dużych oraz szereg wiaduktów. Największym z nich to most na Dunajcu w Nowym Sączu długości 314m oraz położony w łuku most – wiadukt w Dobrej długości 143 m i ponad trzydziestometrowej wysokości.



Linie początkowo obsługiwały parowozy z Nowego Sącza. Ponieważ były małe i słabe, trzeba było „przerabiać ogień” jak również uzupełniać przetworzoną na parę wodę na stacjach Mszana Dolna, Dobra, Limanowa, Męcina, gdzie były studnie i żurawie wodne oraz kanały czystkowe. W Dobrej wybudowano małą parowozownię ze składem węgla i obrotnicą; stały w niej 2 – 3 parowozy służące pomocą w pokonywaniu górskiego odcinka w rejonie Kasiny Wielkiej. Parowozownię w Dobrej rozebrano w 1950 r., chociaż już w okresie międzywojennym, kiedy to do trakcji wprowadzono parowozy mocniejsze, nie była wykorzystywana. W Mszanie Dolnej istniała obrotnica, na której zmieniano kierunki tych parowozów – dawniej bowiem poruszały się tylko do przodu.

Rozkład jazdy z 1886 r. wymienia stacje w: Rabce, Zarytym, Mszanie Dolnej, Kasinie Wielkiej, Dobrej, Tymbarku, Limanowej, Pisarzowej, Męcinie i Marcinkowicach, w 1910 r. istnieją już przystanki w: Łososinie, Klęczanach i w Nowym Sączu – mieście. Pozostałe powstały po II wojnie światowej.

Budowa Galicyjskiej Kolei Transwersalnej w latach 1882–85 przez austriackie c. k. Koleje Państwowe podyktowana była przede wszystkim względami militarnymi, ale również ożywiła gospodarczo ten zakątek Galicji. Już sama jej budowa dała zatrudnienie setkom ludzi, zwłaszcza najbiedniejszym. Zniknął definitywnie nękający wcześniej ten zakątek problem „przednówek”, czyli okresowych głodów w okresie wiosennym, kiedy to powszechnie brakowało pożywienia – teraz łatwo je było dowieźć pociągiem z bogatych regionów. Na szlaku kolejowym powstały wielkie tartaki: w Mszanie Dolnej, Dobrej, Tymbarku, Limanowej. W Sowlinach koło Limanowej (obecnie w granicach miasta) na przełomie XIX i XX stulecia wybudowano wielką rafinerię ropy, w której przerabiano ropę dowożoną koleją aż z Drohobycza. Zakład ten pozwolił miasteczku na awans cywilizacyjny.

Przy linii kolejowej powstały kamieniołomy w Klęczanach i żwirownia w Marcinkowicach.

Była również nasza bohaterka świadkiem wydarzeń historycznych, jakie rozegrały się w tym zakątku. W 1914 r., na przełomie listopada i grudnia przewoziła tysiące żołnierzy austro-węgier-



Przeszłość w obrazie teraźniejszości.

skich, którzy zatrzymali posuwającą się ku zachodowi ofensywę wojsk rosyjskich w słynnej bitwie pod Limanową. Byli wśród nich również legionści Józefa Piłsudskiego (sam komendant jednak przyjechał automobilem).

W okresie międzywojennym widziała budującą się chłopskim trudem i uporem tymbarską „Owocarnię”.

W czasie II wojny światowej linia kolejowa z Chabówki do Nowego Sącza była celem wielu ataków partyzantkich – zwłaszcza w rejonie Kasiny Wielkiej. Odplacali za to mieszkańcy okolicznych wsi – zwłaszcza Porąbki i Woli Skrzydlanej, gdzie w sierpniu 1944 r. hitlerowcy dokonali trzykrotnych pacyfikacji. Zginęły 32 osoby i spalono 68 gospodarstw. Tegoż roku w Męcinie w odwet za wykołowanie pociągu wojskowego, Niemcy rozstrzelali bądź też powiesili na telegraficznych słupach 31 więźniów przywiezionych z krakowskiego więzienia. W porafineryjnych zakładach w Limanowej – Sowlinach hitlerowcy urządzili bazę paliw frontu wschodniego – formowane tu pociągi docierały aż pod Stalingrad! Sama kolej wyszła z wojny też okaleczona, w styczniu 1945 r. wycofujący się hitlerowcy wysadzili budynki stacji w Limanowej, Tymbarku i Chabówce oraz wiadukt w Dobrej. Stacja w Tymbarku nigdy nie została odbudowana.

Po wojnie kolej była nadal głównym środkiem transportu dla całego powiatu limanowskiego. Na „Zachód”, czyli na Ziemię Odzyskaną wywiozła dziesiątki dobrowolnych przesiedleńców wraz z całym ich dorobkiem. Kolej miała prawie wyłączny monopol na dowóz węgla, materiałów budowlanych, nawozów

sztucznych. Na stacjach w Limanowej, Tymbarku, Mszanie Dolnej przeładunek trwał przez całą dobę, odbiorcom sen z powiek spędzało słynne „osiowe” za dłuższe przetrzymywanie wagonów. Mój ojciec, drogomistrz miejski w Limanowej, w niedziele i święta dosłownie urządzał łapanki na robotników, by tylko w terminie rozładować wagony, którymi na te dni obdarzyła jego firmę szczodra wówczas kolej. A dzisiaj – mój Boże – widziałem pociąg jadący z Nowego Sącza do Limanowej składający się z dwóch towarowych wagonów. Podobnie było z ruchem osobowym. Do Limanowej przed siódmą rano pociągi przywoziły setki pasażerów – pracowników, urzędników, młodzież szkół średnich i zawodowych, pententów limanowskich urzędów. Po południu, około szesnastej wszyscy powracali pociągami, każdy w swoją stronę.

Ale to już historia.

Dlatego dziś powracamy pamięcią do tamtych czasów, uczestnicząc w kolejowych festynach z sentymentalno - nostalgicznym westchnieniem.

### Fotografie: Stanisław Ocieпка

Opis fotografii ze strony 51.

Od góry po lewej:

- Załoga stacji kolejowej w Limanowej w 1916 roku na tle austriackiego parowozu serii 73.
- Fragment limanowskiej stacji z początku XX w.
- Stacja kolejowa w Limanowej w okresie międzywojennym. Na frontowej ścianie widoczna tablica pamięci Żwirki i Wigury.

Od góry po prawej:

- Podróżni na peronie. Przed I wojną światową.
- „Rewolucyjna” broda wyglądająca z cesarsko-królewskiego wagonu - 1905 rok.
- Budynek stacji kolejowej w Limanowej zniszczony w czasie działań wojennych przez wycofujące się wojska niemieckie w styczniu 1945 roku.



## **Galicyjska Kolej w Limanowej**

Fotografie archiwalne: arch. albumu „Okruchy pamięci”



# Jeszcze o dawnych opisach i wizerunkach Limanowskiej Piety

W numerze 232/233 „Echa Limanowskiego” (styczeń–luty 2014 r.), pisaliśmy o najdawniejszych drukowanych opisach i wizerunkach limanowskiej Piety, przytaczając opisy zawarte w wydanych na początku XX wieku opracowaniach dwóch krakowskich zakonników – kapucyna o. Wacława z Sulgustowa (1829-1903) i jezuita – o. Alojzego Friedricha (1850-1927). Zapowiedzieliśmy, iż do tematu powrócimy, co czynimy niniejszym.



Główny ołtarz w kościele limanowskim, autorstwa Adama Miksza, przed jego przebudową - 1965 r. W centralnym miejscu ołtarza limanowska Pieta o pierwotnym wyglądzie, przed konserwacją w 1964 roku.



Figura Matki Boskiej Limanowskiej przed rokiem 1964.

Informujemy zatem, że pierwszy, drukowany opis limanowskiej Piety, ilustrowany czarno-białym wizerunkiem, wydrukowany został 1888 roku na łamach wydawanego w Krakowie „*Posłańca Apostolstwa Serca Jezusowego*”. Zawartą tam informację przekazuje o. Sądok Borącz w wydaniu we Lwowie, w 1891 roku dziele noszącym tytuł: „*Cudowne obrazy Matki Najświętszej w Polsce*”. Oprócz opisu położenia miasta, kościoła, słynącej łaskami figury, autor zamieszcza znaną nam już z poprzednich tekstów legendę o ubogiej służącej dworskiej, którą Matka Boska uratowała przed gniewem dziedziczki luteranki, w cudowny sposób zlepiając rozbitą glinianą dzbanek. Godnym uwagi jest również zwięzły, łaciński opis limanowskiej Figury, zawarty w „*Szemantyzmie Diecezji Tarnowskiej*” z 1896 r. Tekst tym bardziej cenny, iż adresowany głównie do

kleru (stąd też obowiązujący wtedy jeszcze w kościele urzędowy język łaciński), w oficjalny sposób określa część słynącej łaskami figury Matki Boskiej Bolesnej w limanowskim kościele.

Dla rozwoju kultu Matki Boskiej Limanowskiej szczególnie ważnym stało się wydanie w początkach XX stulecia dużego, kolorowego obrazu drukowanego, noszącego podpis: „Łaskami słynąca statua Matki Boskiej Bolesnej w limanowskim kościele”. Starannie wykonany i wydrukowany obraz przedstawia limanowską Pięć, umieszczoną na półkolistym z przodu, ozdobionym wotami postumencie. Figura umieszczona jest w specjalnej, bogato zdobionej kolumnami rzeźbionej szafie, stanowiąca centralny element ołtarza głównego w drugim, drewnianym kościele limanowskim. Głównym zwieńczeniem kompozycji jest półkolisty obraz Boga Ojca, unoszącego ręce nad bólem Matki trzymającej na łonie martwe ciało jego Syna.

Ważne są również umieszczone pod obrazem napisy. Informują one, iż obraz wydrukowany został dzięki staraniom ówczesnego proboszcza limanowskiego ks. Kazimierza Łazarskiego i wydrukowany został w Krakowie nakładem Juliana Kurkiewicza. Dowiadujemy się ponadto, iż jest to cegielka na budowę nowego kościoła w Limanowej – czyli dzisiejszej bazyliki Matki Boskiej Bolesnej. Wszystkim dobroczyńcom na ten cel, a więc również nabywcom tego obrazka, obiecana jest wieczysta Msza Święta, odprawiona w limanowskim kościele w święto Matki Boskiej Bolesnej – a więc w tzw. „odpuść kwietniowy”, wypadający w piątek przed Palmową Niedzielą. Wzrusza szczególnie krótka pieśń – modlitwa, można powiedzieć prorocza, zapowiadająca jakby późniejsze czasy I wojny światowej i trudy związane z odrodzeniem się polskiej państwowości: „*Matko Bolesna, ciesz płaczące dzieci/ Dopóki dusza ku niebu nie wzleci/ Skargi ojczystej mamy pełne morze/ Usłyszysz ją Matko i Jezu nasz Boże*”. Przypuszczam, że autorem tych słów był ksiądz Kazimierz Łazarski.

Obraz ten zawisnął w prawie każdym, katolickim domu rozległej wówczas parafii limanowskiej, wiążąc wzrokowo i emocjonalnie jego mieszkańców z wizerunkiem limanowskiej Pani. Wisi do dnia dzisiejszego w moim rodzinnym domu, spotkałem go daleko poza Limanową – m. in. jeden oryginalny i dobrze zachowany egzemplarz zakupiłem w Dobrej do zbiorów limanowskiego Muzeum. Z różnych przekazów wiem, iż trafił nawet za ocean, gdzie zabrał go emigrujący za chlebem limanowianin. Jeden z egzemplarzy nabyło Starostwo Powiatowe w Limanowej, umieszczając obraz po prawej stronie głównego wejścia do swej siedziby. Przetrwiał tam szczęśliwie obie wojny światowe i stalinowskie czystki. Dopiero w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, przy okazji przeprowadzonego remontu budynku został potajemnie usunięty i zaginął. Później, w jego miejsce, umieszczona została kolorowa mozaika, podarowana przez bp. Piotra Bednarczyka.

Cennym przyczynkiem do popularyzacji kultu limanowskiej Pięty stała się praca proboszcza limanowskiego ks. Ludwika Kowalskiego pt. „Historia kultu łaskami słynącej figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej”. Wydana w latach 50-tych ubiegłego wieku w formie druku ulotnego opisywała kult limanowskiej Pięty od legendarnych początków do czasów po II wojnie światowej, umieszczając go na tle historii miasta i parafii limanowskiej. Ten ciekawy szkic napisany został pięknym językiem literackim, o czym świadczyć może zacytowany poniżej opis rzeźby: „*Najdrogocenniejszą perłą, jaką kryje*



Łaskami słynąca Statua Matki Boskiej Bolesnej w limanowskim kościele. Cegielka na budowę limanowskiego kościoła. Początek XX wieku.

*wspaniały kościół limanowski jest figura Matki Boskiej Bolesnej w postaci siedzącej i trzymającej na kolanach Ciało Pana Jezusa zdjęte z krzyża. Umieszczona jest we wielkim ołtarzu. Figura ta ma wysokość 90cm, a z koroną 100cm. Jest rzeźbą raczej ludową niż artystyczną, mimo to o pięknych pełnych wyrazu rysach twarzy. Patrząc na nią, odbiera się wrażenie, że to istotnie Matka Najboleśniejsza. Twarz blada pełna bólu, brwi ściągnięte, oczy pełne łez, wpatrzone w martwe Ciało Chrystusa, zeszywniałe, sine, okryte ranami, spoczywające na kolanach i rękach matki. Głowa Jezusa zwisa bezwładnie, a w skroniach tkwią głębokie ostre kolce cierniowej korony. Według orzeczenia znawców sztuki, pochodzić ma ta rzeźba z końca XIV wieku”.*

Cytowane opracowanie ks. Ludwika Kowalskiego stało się podstawą do czynienia zabiegów o uznanie przez Kościół kultu limanowskiej Pięty i uhonorowanie jej rzeźbionego wizerunku przez nałożenie papieskich koron. Stało się to jeszcze za rządów księdza Kowalskiego jako proboszcza 11 września 1966 roku.

O wyglądzie limanowskiej Figury w czasie, kiedy została umieszczona w głównym ołtarzu nowego, współczesnego kościoła limanowskiego do chwili przebudowy ołtarza i gruntownej konserwacji Pięty dobrze informuje czarno-biała fotografia, zamieszczona w VII tomie katalogu zabytków województwa krakowskiego. Tak wyglądającą Figurę zapamiętali zapewne starsi, pamiętający jeszcze te czasy Czytelnicy „Echa”.

**Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”**



**BANK SPÓŁDZIELCZY  
W LIMANOWEJ**

# Obniżamy provizje od kredytów



kredyt **BEZPIECZNA  
GOTÓWKA**

kredyt **HIPOTECZNY**

kredyt **KONSOLIDACYJNY**

kredyt **WSPARCIE  
GOTÓWKOWE**

kredyt **MIESZKANIOWY  
„DOM”**

kredyt **NA ZAKUP  
I MONTAŻ  
KOLEKTORÓW  
SŁONECZNYCH**

*Promocja skierowana jest do Klientów indywidualnych i trwa od 1.06.2014 r. do 31.12.2014 r.  
Dotyczy kredytów na cele nie związane z prowadzoną działalnością gospodarczą.*

zobacz więcej na [www.bs.limanowa.pl](http://www.bs.limanowa.pl)



# Takich cen JESZCZE NIE BYŁO!



**STAL  
ZBROJENIOWA**  
fi 10, fi 12

**2 250 zł/tona**



**Styropian  
TERMO  
ORGANIKA**  
DALMATYŃCZYK,  
fasada

**127 zł/m<sup>3</sup>**



**Dachówka BRAAS**  
Celtycka LUMINO,  
cała gama kolorów!

**17,98 zł/m<sup>2</sup>**



**Płyta gipsowo-  
kartonowa**  
biała 1,20x2,60m

**15,80 zł/szt.**

**Płyta gipsowo-  
kartonowa**  
zielona 1,20x2,60m

**23,70 zł/szt.**



Oferta obowiązuje do wyczerpania zapasów.